

Wpł. 19.03.82  
L. dz. 110 13

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

II / 1075

## Spis treści

	str
Od autorki	
I. Zesłanie i aresztowanie	1
II. W Georgiewce	25
III. Próba ucieczki	42
IV. Semipałatynska tiumna	63
V. Spotkanie z mężem	77
VI. Rozstanie	82
VII. Na "strojce" elekrowni	95
VIII. Z powrotem w Semipałatynsku	103
IX. Powrót	121

## Od autorki

Gdy znajomym opowiadałam moje przeżycia z tego niezwykłego okresu mojej poniewierki, zawsze słyszałam radę - trzeba to koniecznie spisać. Próbowałam kilkakrotnie, ale gdzieś to się urywało i pozostawało nie dokończony.

Jednak jak bolesna zadra - tkwi to we mnie, przybierając już formę obsesji, postanowiłam więc to co mi jeszcze pozostało w pamięci przekazać wiernie, wierząc że może w ten sposób nareszcie uwolnię się od tych bolesnych i natrętnych wspomnień. Zwierzenia moje będą smutne, ale prawdziwe a za każde słowo tu napisane odpowiadam. Będę mówiła o faktach przeżytych a także ludziach którzy pozostają w mojej pamięci jako zacni i wspaniali, a tych spotkałam niewiele, natomiast niestety muszę opowiedzieć i o tych, którzy postępowaniem swym przynosili hańbę rodakom i swojemu narodowi.

Jak najserdeczniej wspominam tych, którzy sami bici przez okrutny los potrafili wykrzesać z siebie iskrę życzliwości i ciepła, aby w tej biedzie i samotności zastąpić mi utraconą rodzinę. Dlatego boleję nad tym, że po powrocie do kraju, szukając usilnie nie znalazłam Jenki Kolasowej - której właśnie tak wiele mam do zawdzięczenia, a także nie było mi dane osobiście podziękować pani generałowej Marii Frugarowej-Ketting, która sama żyjąc w ciężkich warunkach wówczas we Iwowie, potrafiła mi przysłać na Sybir wiele potrzebnych rzeczy i plecak przez siebie uszyty, bowiem przez cały ten okres sześcioletniej poniewierki całe moje mienie w nim nosiłam, zarzucając go na plecy - przerzucana z więzienia do więzienia, z pracy na pracę jak to w niewolniczym systemie bywa.

W wędrówce tej spotkałam też wielu zacnych Rosjan o niektórych wspomnę w tekście - podziwiając ich serdeczność, uczciwość

i odwagę, jak im się udało te skarby człowieczeństwa w tym przeklętym reżymie zachować?

To co napisałam proszę przyjąć jako dokument oskarżający wrogi reżym o dokonanie agresji połowy Polski, o znęcanie się moralne i fizyczne nad je obywatelami przez aresztowanie i deportację obywateli tego Państwa, których jedynym przewinieniem było to, że urodzili się Polakami, że wychowali się i kształcili w cywilizacji zachodniej, a przez to już stawali się wrogami tegoż reżymu, o przeżyta martyrologię tych ludzi, o oderwanie ich od rodzin, o ciągły strach przed ponownym aresztowaniem, o wieczny i niezaspokojony głód.

Jaki zaś jest stosunek tego reżymu do swoich obywateli niech świadczy o tym napis - znajdujący się na "tiumnie" w Świerdłowsku mówiący sam za siebie: "Kto zdieś nie był budziet, akto był nie zabudiet".

## I. Zsyłka i aresztowanie.

Mija już 49 lat od chwili gdy stopa moja dotknęła tej tak strasznej dla Polaków, - ziemi.

Nie byłam sama - było nas wiele, lecz ja byłam samotna, wyrwana brutalnie ze środowiska, w którym żyłam pozbawiona męża synka i Ojczyzny. Potrafili tego dokonać w przeciągu paru dni, naprzód wyaresztowali w nocy 9 na 10 kwietnia 1940 roku 9 000 mężczyzn, a 13 też nocą, rozpoczęli deportację ich rodzin a także i tych, których wcześniej ~~zabrali~~ zabrali. Nie ominęli i tych którzy przez litość wyręczali ludzi strącając ~~podawali~~ ~~księżystarych~~ paczki do więzienia, przez to już stawali się elementem niebezpiecznym - kwalifikującym się do wywozu. Deportację zapoczątkowano 13 ~~go~~ i zwożono nas przez 2 dni, do wagonów towarowych przygotowanych na obu dworcach tak Czerniowieckim jak i Podzamcze we Iwowie; gdy wagon był pełny zamykano go, nie troszcząc się czy mamy co pić albo co jeść, wagon był wyposażony w piecyk, 6 półek umieszczonych przy koncu wagonu, zaś w pośrodku wagonu miał latrynę bez osłony

Umieściłam się na najwyższej półce, jako towarzyszkę miałam osobę, która z płaczem oznajmiła mi, że pozostawiła synka tak zresztą jak i ja, i tak samo aresztowano jej męża jak i mojego - 9 ~~go~~ w nocy. Był redaktorem "Kurierza Iwowskiego", była to pani Ulanowska.

Wybrałam górną półkę dlatego, że nad nią było małe okienko - prosto otwór, całe szczęście nie zakratowany, było tu jaśniej i dostępowietrza, ważny w takim skupisku ludzi, a także mogłam oglądać co się dzieje na zewnątrz. Dolne półki zajęły matki z dziećmi, rodziny liczne i tak w rozpacz jak i nieszczęściuszczerze. Mówiły, że na Lewandówce pozostawiły domki, ciężki dorobek pracy ich życia; mężów aresztowanych byli to kolejjarze, a ich zsyłano - obarczone gromadką drobnych istot. Jakże będzie ich życie?



Spojrzałam przez okienko, niedaleko naszego wagonu znajdował się drugi tor, a na nim wagony jeszcze otwarte i tam właśnie zwożono nowe ofiary, w pewnej chwili podjechała ciężarówka, a na jej platformie, na jakichś tłumokach siedziała dostojna starsza pani, twarz skamieniała w rozpacz, a do jej rąk tuliły się małe dzieci. Serce mi się ścisnęło i ogarnęło mnie przerażenie - a jeśli ten N. K. W. - Dysta wrócił do mojego domu i zrobił to co mi obiecywał: "Nie kryczy bo zabieru staruchu i malczyka", i zaczęły się przesuwac przed oczyma sceny których nigdy nie zapomnę i po tylu latach widzę jak żywe.

Mieszkaliliśmy w dzielnicy zamieszkałej głównie przez kolejarzy, oni też byli najlepiej zorientowani w tej okropnej sytuacji.

Znajomci ostrzegali nas przed aresztowaniem i deportacją, wiedzieli że pierwszy transport zesłańców poszedł już lutym, obejmował rodziny wojskowych i służbę leśną. Wywieziono pełne rodziny i wiele niemowląt, tam śmierć dokonywała się, matki traciły pokarm i niemowlęta marły - a konwojenci wyrzucali ciała po drodze, takie chodziły słuchy. Z tym transportem mieli Sowieci kłopot na granicy, gdzie kończyły się polskie wąskie tory, a zaczynały szerokie. Trzeba było zmieniać wagony na sowieckie - to kłopotliwe, jednak znalazł się inżynier konstruktor Polak, który podjął się dokonać zmiany w podwoziach, aby można było pokonać tę trudność i wtedy poszły dalsze zsyłki. Mówiono o tym, ale bano się ujawnić nazwiska tego renegata, który pomógł im w tej "zbożnej" sprawie.

Wszelkie ostrzeżenia moje nie odnosiły skutku, a przecież wystarczyło nie nocować w domu - i właśnie ja, która nieustannie przygotowywałam na różne sposoby ucieczkę, słysząc dzwonek u drzwi wprowadziłam ich do naszego pokoju. Wszedł barczysty N.K.W. Dysta w asyście takich pod karabinem, odczytał nazwisko

męża i zażądał broni, bo jako oficer musi ją mieć, jeśli nie da, to będzie rewizja. Znajomi uprzedzali nas, że oni podrzucają bron, cały czas patrzyłam na te ręce przewracające nasze ubogie mienie w szafie, aby przypadkiem nie wypadł z rękawa rewolwer. Potem zaczął rewidować biurko /mieszkaliśmy w pokoju brata mego i ~~biurko~~ <sup>biurko</sup> zawierającego rzeczy/ - zabrał jakieś amatorskie zdjęcia i pakiet listów związanych czerwoną wstążeczką. Mężowi któremu nie wolno było opuszczać łóżka - teraz kazało wstawać i ubrać się, aby poszedł na milicję dla złożenia zeznan co zrobił z bronią. Gdy wciskałam mężowi ówiartkę chleba i kawałek kiełbasy N.K.W. ~~dy~~ <sup>dy</sup>sta oświadczył:

- Niczego nie nada, za dwa czasu wierniotsia.

Wsunęłam Tolowi 3 ruble i 40 kopiejek - cały nasz majątek, wiedziałam że ten N.K.W.D-ysta kłamie i że nie zobaczę męża.

Odchodząc jeszcze się obejrzał gdy stojąc w drzwiach żegnałam go krzyżem. Przeżyłam wstrząs, stało się to czego tak bardzo się obawiałam - znowu pozostajemy sami. Ciszę nocną przerwał płacz tolusia, ale taki nieśmiały przyciszony, żałosny - pochyliłam się nad jego łóżeczkiem:

- Co ci syneczku?

- Mamśiu tak bardzo się boję o Tatusia - a więc i on to wszystko widział i przeżył, choć udawał że śpi.

Przez 3 dni chodziłam jak nieprzytomna, Tolu nie wrócił, wyszedł bez pieniędzy, bez bielizny, bez żywności - jak on śpi, czy ma na czym i czym się przykrywać Postanowiłam go szukać. Zaczęłam od gmachu żandarmerii przy ul. Łąckiego, bo podobno i tam przebywali aresztowani. Wejście nie było strzeżone, chyba źle trafiłam - ale szłam dalej, z kurytarza powiało kasarnianym smrodem. Stałam - przedemną były wahadłowe drzwi - usłyszałam kroki, drzwi uchyliły się i wyszedł w podkutych butach

przedstawiciel milicji, w czapce z niebieskim otokiem, zsunięte na tył głowy i wrzasnął: "Czto takoj" Odpowiedziałam że szukam męża, aby mu podać pieniądze na co on ryknął śmiechem - a więc tak wyglądali strażnicy mojego męża wszak to nie człowiek..... rozplakałam się i wybiegłam, wróciwszy do domu z niczym. Toluś choć miał 6 lat dobrze rozumiał sytuację - głaskał po twarzy, przytulał się do mnie i prosił:

- Nie płacz.

Wiedziałam jak mąż ~~został~~ <sup>cenit</sup> wolność, kiedyś wspominał mi że o rok wcześniej mógł uzyskać nominację na sędziego ale na wydziale karnym, nie przyjął jej choć to się wiązało z wyższym uposażeniem dlatego ~~nie~~ nie chciał nikogo pakować do więzienia, a teraz sam znalazł się w rękach takich oprawców <sup>na</sup> <sup>na</sup> skazany upokorzenia, poniewierkę i głód.

Cała energia, która mną kierowała do czasu jego aresztowania gdzieś prysła, snułam się jak odurzona nie przewidując ~~losu~~ jaki mi przygotowano. Wiedziałam że z kolei przyjdzie mi szukać męża w Brygidkach lub na Zamarstynowie aby mu podać pieniądze i bieliznę, ale biedaczek nigdy nie zaznał pomocy ode mnie, bo stało się dokładnie tak jak powiadali sąsiedzi - po aresztowaniach nastąpi deportacja.

Zbudziłam się pełna niepokoju, dlaczego serce tak mi się tłucze, co się właściwie dzieje, dlaczego na naszej ulicy tak zawsze cichej taki ruch? Spojrzałam w okno, niebo traciło swój ~~głęboki~~ głęboki granat przechodziło w szafir, a w perspektywie - na jego tle duży błęk mieszkalny zamykający ul. Żeromskiego już się wyłączał, ale tam działo się coś niezwykłego - jedno okna się zapalały i gasły, to znów drugie się zaświecały. Tam mieszkała zacna pani Sakra, która z narażeniem swego życia, po wkroczeniu Sowietów do Iwowa wyprowadziła ze Szpitala Wojskowego gdzie była



pielęgniarką - 3 rannych oficerów - dała im u siebie przytułek pomagając im wrócić do zdrowia. Czy coś u niej złego się dzieje, czy udało się tym jej pacjentom umknąć - może ona jest w niebezpieczeństwie?

Był to 13 kwietnia, w historii Lwowa zwany "czarnym piątkie<sup>a</sup> albowiem zapoczątkował deportację, która trwała 3 dni. Usłyszałam dzwonek u drzwi, otworzyłam weszli: N.K.W.D-ysta w asyście dwóch pod bagnetem; on w czarnym skórzanym płaszczu, a asysta w mundurach, zasiadł przy stole zapytał czy jestem Helena Scheuring żona Witolda, więc wraz z synem ~~2~~ pojedziecie na stancju, tam budziet na was <sup>syn</sup> mąż". Nie uwierzyłam mu myśląc że mąż coś zeznał co mnie obciążęło i biorą mnie do więzienia, krzyknęłam to nie mój syn, wzięłam go do siebie a rodzice w drugim pokoju. Gdy to powiedziałam, - struchlałam wszak Władzia z Kaziem ~~on~~ kryją się u Mamy, co ja robiłam? N.K.W.D-ysta wstał poszedł tam, ale prędko wrócił /oni spali za kredensem nie zauważył ich/ ale zobaczył Mamę i krzyknął:

- Odiewaj Sja.

Wtedy i ja podniosłam głos:

- Wyjdźcie stąd, muszę się przebrać, jestem przyzwoitą kobietą.

Nikt się nie ruszył i dalej krzyczałam:

- Coście zrobili z moim mężem, miał wrócić z ~~z~~ dwie godziny gdzie się podział?

Usłyszałam:

- Nie kryczy bo zabieru staruchu i malczyka - i dalej do asysty:

- Fryniesicie jej miech/futro/ - dobre ~~z~~ miał oczko, zauwaważył je w przedpokoju:

- Puść tak jediet.



Bojąc się że pojedę w piżamie, prędko zaczęłam ją zmieniać ~~na~~ na bieliznę. włożyłam spodnie narciarskie i buty, sweter, do neseseru podróznego wrzuciłam bieliznę, ale przybornik do maniciur pozostawiłam, bo w więzieniu to mi odbiorą i byłam gotowa do drogi. Nie pożegnałam się ani z matką ani z Tolusiem aby nie zwracać na nich uwagi i opuściłam dom. Kazali mi wejść po kole na platformę, umieściłam się przy talnej klapie, moi aniołowie stróżę przycisnęli mnie z boków myśląc, że może w czasie jazdy wyskoczę, a jeden zapytał:

- Poczemu malczyka nie wzięła?

Bałam się że stracę dziecko, bo wezmą go na państwowe wachowanie do sieroczonca, więc nic nie odpowiedziałam. Gdy wjechali w ul. Gródecką spostzregłam że się omyliłam, wiozą mnie na dworzec Czerniowiecki, a więc nie do więzienia, lecz na zsyłkę. Z daleka było widać nadciągające ciężarówki i podwozy wiozące zsyłanych i ich mienie - czasem nawet pokaźne, tylko ja miałam cały swój majątek w ręku. Twarze spłakane, a nawet słychać było zawodzenie, ale były i zrywy patriotyczne, pewna niewiasta przed wejściem do wagonu stojąca na pustym wozie w postawie wyzywającej zaśpiewała: "Jeszcze Polska nie zginęła póki ma żyjemy." w tej chwili miało to swoją wymowę, choć wyglądało nieco teatralnie. Przy bliższym poznaniu robiła wrażenie osoby która "z ni jednego pieca chleb jadła" nie poszła do pracy, bo nie chce na nich robić - ale musiała mieć biżuterię aby żyć. Nie pracując mogła sobie pozwolić na ucieczkę i powrót do Iwowa jeszcze wśród lata, szła jako żebraczka prowadzona przez 13-letniego chłopca, wrócili jeszcze w 1940 roku. /

Wagon zamknięto, całą noc przepłakałam, mając przed oczami wizję strasznej pani z wnuczętami - gdy rano spojrzełam przez okienko, zobaczyłam mgłę gęstą jak mleko. Konwoju nie widziałam -

postanowiłam spuściwszy się przez okno uciekać, nawet gdyby strzelali. Właśnie uprzedzałam panią Ulanowską o moim zamiarze rzeniu, gdy usłyszałam gdzieś z daleka głos mojej matki - zbliżający się coraz bardziej i nawołujący mnie.

- O dzięki Ci Boże, jest na wolności - wychyliłam się przez okienko i usłyszałam:

- Dobrze - że cię odnalazłam. a ja już chciałam komu innemu dać to co dla ciebie przyniosłam - podała mi poduszkę i czajnik i chyba coś z żywności.

- A Tolusia wczoraj rano odprowadziłam do p. Szczerbowskiej /siostry męża/ wyjeżdżając z Fufką do Krakowa przez Przemyśl. Radość moja nie miała granic, ani mamy ani Tolusia nie zabrali - mogę jechać na kraj świata i tak zaczęła się podróż w nieznane. Opuściliśmy Iwów 15 wieczorem, a przez stukot kół przebiegała mi się pieśń, która zawsze towarzyszy nam Polakom w chwilach ciężkich, pieśń błagalna płynąca z głębi serc w-raz ze łzami - „Boże coś Polskę”, i szła tak od wagonu do wagonu - przypominając zrozpaczonemu, że jest Ktoś tam wysoko i że w jego Ręce należy złożyć wszystko - On nas pocieszy.

Jechaliśmy, ale nikt z eskortujących nie zapytał czy mamy co jeść, czy mamy co pić, od 13 byliśmy zamknięci, dopiero 16 rano pociąg stanął. Od ludzi stojących na moście nad porami dowiedzieliśmy się że to Tatnopol. Drzwi rozsunięły się aby zabrać dwie osoby dla przyniesienia czarnego chleba i wrzątka - takie będzie nasze zaprowiantowanie przez 2 tygodnie, chleb będzie tylko czarny, /dla osób chorych na wątrobę zabójczy/ - aż do celu zsyłki. Przez szczelinę w drzwiach zobaczyłam grupę osób wracających z zaopatrzeniem/stosowanym w krajach cywilizowanych tylko dla więźniów o specjalnej procedurze karnej/, Zostaliśmy przez ten rząd potraktowani tak właśnie, otrzymaliśmy

miano "specperysilenców" tj. specjalnie zesłanych, a jakie były nasze przewinienia? Że urodziliśmy się Polakami i że śmieliśmy zamieszkiwać Iwów, musimy zniknąć z powierzchni ziemi - ale pot i krew nasza wsiąknie w nią, wtą syborską - nim ją użyżnemy.

Spojrzenie moje padło na tych właśnie, którzy jak wspominałam nieśli to "zaopatrzenie", jechali chyba w sąsiednim wagonie: dziewczyna prześliczna, ona smukła blondynka, a obok niej młodziwiec też przystojny. Biła od nich jasność, urok młodości, jakie będzie ich życie dalsze w tych warunkach? Zabrali ze sobą pieska - foksteriera, to już świadczy o ich sercu, nie porzucili przyjaciela w biedzie, jedzie z nimi dzielić ich los.

Drzwi zasunięto i zaczęto rozdawać chleb - a na środku wagonu przy rozpalonym piecyku na który stał duży gar, krzątała się matka tego drobiazgu, żona kolejarza z Iewandówki. Właśnie wyjmując zabita kury z worka - mówiła - trafiłam na ludzkich mołojców, którzy widząc mnie płaczącą i przestraszone dzieci - pomogli mi się spakować, nawet pozabijali kury i wepchali do worka mówiąc:

- Bieri, rebiata budziet imiet czto kuszat.

Drugą półkę zajęła też żona kolejarza, wyszła za wdowca, siedzą obok niej dwie pasierbice już podlotki, a ona trzyma na rękach niemowlę - te dziewczęta napewne będą jej pomocą na tym wygnaniu. Niedaleko od piecyka leży duży toboł zaszyty w prześcieradło a na nim siedzi pani o twarzy smutnej, zbolałej, obok córka Wandzia, nie zawierają żadnej znajomości. Siedzą w płaszczach milcząc - zaś po drugiej stronie wagonu rozłożyły się także rodziny z dziećmi, ale wśród nich widzę dwóch mężczyzn, jeden z nich jak się okazało jedzie dobrowolnie / o szczegółach dowiedziałam się później/ .



Na razie zbliżyłam się do p. Ulanowskiej - jedynej osoby która się przedstawiła i dzieliła ze w mną półkę. Leżała przeważnie milcząc, była kompletnie załamana, mówiła tyle ile było trzeba, w nocy tuliłyśmy się do siebie nakrywając się jej płaszczem i moimi "żrebackami", bo temperatura spadała poniżej zera, dowodem tego był śnieżny nalot uformowany na suficie z naszych oddechów. To była nasza tragiczna rzeczywistość, ale aby nie popaść w jakieś odrętwienie psychiczne, trzeba było żyć, obcować z tymi którzy wprawdzie coraz bardziej oddalali się od nas - ale których obraz pragnęłam zachować w pamięci - i przywoływałam te wszystkie wydarzenia, które przedziły, a napewno zaważyły na tym co w tej chwili nastąpiło.

Moje życie tak bezpieczne i pogodne, przy boku człowieka prawego - jakim był mój mąż, upływało spokojnie i w harmonii, prosił mnie abym nie myślała o pracy zawodowej - powinnam zostawić to kobietom niezamężnym i takim, które mają na utrzymaniu rodzinę. Spełniając jego życzenie zastąpiłam ją pracą społeczną w gnieźniejskim Sokole, właśnie w czerwcu 1939 roku polecono mi wygłosić referat o zaborczości niemieckiej. Sala była pełna po brzegi, myślę że wśród zebranej publiczności byli i Niemcy, którzy tam pozostawali jeszcze od czasów zaboru pruskiego. Gdy w lipcu <sup>n</sup> ~~z~~astroje wojenne się wzmogły, na skutek prowokacyjnych i gwałtownych wystąpień Hitlera, poczuliśmy że wojna wisi na włosku, trzeba więc było zwinąć nasze piękne mieszkanie, pozostawiając tylko kilka najpotrzebniejszych sprzętów dla męża który oczekiwał mobilizacji. Meble wysłaliśmy do Iwowa skąd oboje pochodziliśmy i gdzie mieszkaly nasze rodziny. Przecież poza tym mieliśmy pakz o nieagresji z naszym wschodnim sąsiadem - a więc z tamtej strony nie powinno nam nic grozić - mienie nasze więc ocalało.



Żegnałam męża /Tola/ z niepokojem i troską. nie był młody miał 42 lata. miał początki astmy i delikatny przewód pokarmowy, przeszedł 3 wojny, w 1916 roku na froncie włoskim przysypany był miną. W 1918 - biorąc udział w obronie Iwowa, dostał się do niewoli ukraińskiej i wrócił z niej z tyfusem powrotnym, Chorował bardzo ciężko - a potem przyszedł rok 1920 - nawała bolszewicka, wszyscy bronili - a teraz nadchodzi już czwarta, czy nigdy nie zaznamyśmy spokoju?

Pożegnałam się wreszcie, Tolusia wzięłam za rączkę, do ręki podręczny bagaż i na szczęście futro. Na drugi dzień znalazłam się we Iwowie - w domu mojej matki. Dom znajdował się w dzielnicy kolejowej, codziennie dowiadywałam się czy nadszedł wagon z naszymi meblami, bezskutecznie. Tłumaczono mi, że teraz idą transporty wojskowe trzeba czekać, uwiadomią gdy nadejdą.

Tymczasem w dzień pierwszego września radio nadało że w nocy Hitler tj. III Rzesza - wypowiedziała Polsce wojnę. W godzinach rannych, a właściwie koło południa przebywałam w ogrodzie z bawiącymi się dziećmi, gdy nadleciały samoloty, leciały ciężko niższy się. Przecież to nasze, ale dlaczego tutaj latają, a nie na zachodnim froncie?

- Patrzcie - wołałam do dzieci - jak ładnie znaczone mają pod skrzydłami biało-czerwone kolory - ale za chwilę zaczęły sypać się bomby, spadały jak paciorki różańca. Zrzucały na dzielnice znacznie odległą od naszej, a spadały na kompleks budynków PKO przy ul. Kochanowskiego. Wprawdzie mieszkańcy schronili się do schronu, ale wyjście do schronu, zostało przysypane, a równocześnie przewody gazowe uszkodzone i wszyscy ulegli zatruciu. Samolot został zestrzelony i pilot ocalał. Okazało się że mówił doskonale po polsku - Był lwowianinem, wychowankiem szkoły ewangelickiej. Tłum chciał go zlinczować, on też zeznał, że

leciał na samolocie czeskim, samoloty te zostały zagarnięte w Czechosłowacji a gdy Niemcy tam wkroczyli użyte aby wprowadzić w błąd naszą Obronę Przeciwlotniczą.

Od tego dnia codziennie wtedy gdy transporty wojska ładowano do wagonów ciężarowych, nadlatywały samoloty już ze swastyką i rzucały bomby, a żołnierze opuszczając dworzec chronili się w ~~XXXX~~ przyległych uliczkach. Spoceni, zziębnięci, obwieszani całym bojowym rynsztunkiem, głodni, spragnieni, dezorientowani, ale ludność tej dzielnicy pomagała jak mogła - podając im chleb, wodę do picia, pomidory, owoce, papierosy, i słodycze. Wszystkich jednak zastanawiała doskonała organizacja dywersyjna i wreszcie przyłapano na dachach kamienic Ukraińców naprowadzających lusterkami samoloty na obiekty ~~ważne do zniszczenia~~ ważne do zniszczenia. Dywersja objęła też C.O.P./ Centralny Okręg Przemysłowy/ albowiem nadeszła stamtąd ~~100~~ 100 dział przeciwlotniczych /zenitów/ ale bez celowników, o czym poinformował mnie brat męża, Patrzając na tych biednych żołnierzy, a trzeba dodać że temu nieszczęściu towarzyszył niesamowity upał, myślam biegłam w Poznańskie gdzie napewno mój mąż już był pod bronią, czy i on przeżywa takie chwile?

Niebawem zjawił się mój brat, przyjechał ze Śląska gdzie dotychczas pracował w Hucie Bankowej przy wytopach jako inżynier odlewnik. Nie został powołany do wojska, ~~zgłosił~~ zgłosił się do lwowskiego D.O.K. ale odmówiono <sup>przyjęcia</sup> mu tłumacząc się brakiem umundurowania.

A na dworcu Czerniowieckim ciągle bombardowanym wybuchały pożary wokół snuły się dymy i śwąt, megafony ciągle ostrzegały:

- Uwaga - Uwaga - nadchodzi - chroniliśmy się do bardzo wątpliwych schronów. Brat widząc moje zdenerwowanie poradził mi abym się przeniosła do rodzinnego domu mojego męża gdzie mieszkała jego siostra z córką. Rzeczywiście tam odzyskałam spokój, ale niepokój o męża mnie nie opuszczał.

Niemcy do Iwowa nie weszli - nadciągali od Iyczakowa i tam ich zatrzymano, tam też został raniony gen. Anders i inni. ~~Władność~~ Ludność cywilna też przygotowywała się do obrony, zrywała płyty z chodników i budowała zapory przeciwczołgowe, otrzymaliśmy butelki z benzyną aby rzucać pod i na czołgi. Tymczasem z drugiej strony Iwowa wkroczyła Czerwona Armia, a przez radio usłyszeliśmy, że pakt o nieagresji z Polską jest zerwany. Czerwona Armia weszła w nasze granice aby wyzwolić z niewoli "panskiej Polski" - Ukraińców i Białorusinów, bo o to proszą. W ślad za tym, został podpisany w Moskwie "Pakt Ribentrop - Mołotow", usprawiedliwiony słowami tegoż ministra, że nareszcie przestanie istnieć Polska - ten pokraczny bastard traktatu wersalskiego, żyjący z mniejszości narodowych", Tak dokonał się 4-ty rozbiór Polski.

Niemcy cofnęli się za San, w Przemyślu było przejście do strefy niemieckiej, która otrzymała miano: "Generalgouvernement", zaś druga strona "Zagłodnej Ukrainy". Najeźdźcy podzielili się Polską i zaczęły się ich rządy. Napotykanne pułki polskie rozbrajano, a jeśli był sprzeciw potrafili wpędzić do bagna i tak trzymać przez 3 dni. Przeżył to mój kuzyn na Polesiu który był w pułku wileńskim. Oczywiście wykorzystywali to, że armia nasza nekana przez samoloty niemieckie cofała się w rośsyppce, ale w tym chaosie coś niecoś do nas docierało, a myśl co się z mężem stało, nie opuszczała mnie ani na chwilę.

Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy przy stole w jadalni - achyliła się portiera od nocy, a na jej tle zobaczyłam twarz męża - prawie tak seledynową jak ona, blade prawie przezroczysty, wychudzony - w cywilnym ubraniu - powiedział:

- Popatrzcie co mam na nogach - na nogach miał komiśniaki x/  
dziurawe, a z dziur wyłaziła słoma.

X/ określenie na żołnierskie buty juchtowe



I zaczęła swą opowieść. Gdy w Gnieźnie zarządzono mobilizację sędziom polecono - do munduru oficerskiego nałożyć czapki policyjne. Na szczęście męża to jakoś ominęło, szli ciadłe nekani przez samoloty niemieckie, które nie tylko bombardowały, ale zniżają się siekąc z karabinów maszynowych. Posuwali się nawschód w rozsypce, licząc na to że wreszcie się połączą, przeszli już wspólnie zorganizowaną <sup>do strony</sup> płonącą Warszawę, szli dalej na wschód. Ci koledzyktórzy mieli czapki policyjne padali ofiarą morderstw dokonywanych przez Ukraińców, którzy brali ich za oficerów znienawidzone policji, Posuwali się dalej na wschód i doszli do Złoczowa, zdawało się , że nareszcie nastąpi tu skomasowanie tej całej armii i przystąpią do akcji. Niestety zostali otoczeni przez Armię Czerwoną, a dowództwo jej oświadczyło: że wojny skonczone, ona idą wyzwolić Ukraińców z polskiej niewoli, zajęli polskie ziemie aż po San, a reszta jest w niemieckich ~~re~~ rękach: żołnierze złożą broń wrócą piechotą do domów i rodzin, zaś oficerowie ~~xxx~~ zaczekają na przepustki i pojedą koleją. Czekaając na przepustki zamieszkają w gmachu szkolnym, żywić się będą sami, to długo nie potrwa. Szkoła dysponowała tylko ławkami i stołami na których spali oficerowie, przynosząc sobie do jedzenia to cą zdołali kupić w okolicznych sklepikach. Sowieci zadbali też o "bezpieczeństwo" polskich oficerów bowiem na drugi dzień ich pobytu pojawiła się warta z karabinem na ramieniu, czuwający dniem i nocą, pozostawiając im zresztą całkowitą swobodę poruszania się. Mój mąż odwiedzał <sup>ich</sup> znajomych tam <sup>ich</sup> mieszkających i serdecznie zapraszany odwiedzał i codziennie - czekając na przepustkę. Niepokoiła go ta zwłoka a także i to że znajomi zaczęli się odnosić do niego z pewną rezerwą. Ra gdy wracał z tej nieudanej wizyty już z daleka zauważył że warta znikła, nim doszedł do gmachu szkoły, zabiegła mu drogę wiejska kobieta i szepnęła:



- Proszę tam nie iść - pewno czekają na pana, zabrali wszystkich na Zamek 9 jastem nauczycielką w tej szkole - proszę iść za mną. Wprowadziła go do pobliskiego kościoła i spod odszernej wiejskiej chusty wyciągnęła cywilne ubranie mówiąc, że jest to dar notariusza X. /nazwiska nie pamiętam/.

- Proszę przebrać się, ja mundur zabiorę. Wszystko to odbyło się na chórze kościelnym, w wielkim pośpiechu, mąż gdy dziękował owa Nieznajoma powiedziała:

- A teraz proszę szukać możliwości ucieczki - jak najszybciej wspomnając to graniczące z cudem ocalenie w myślach dziękowaliśmy owej Nieznajomej jak najserdeczniej, że ocaliła męża od niewoli. Jak się okazało po latach było to ocalenie od haniebnej śmierci jaką zginęli ci "poprowadzeni na Zamek" oficerowie, ale o tym dowiedziałam się dopiero po powrocie z Sybiru, gdy podczas świąt Wielkanocnych gościłam u znajomych w Gliwicach poznałam panią która była repatriantką ze Złoczowa. Gdy opowiedziałam jej przygodę mojego męża - powiedziała:

- W czerwcu 1941 roku Niemcy weszli do Złoczowa i gdy kazali kopać żydom doły na Zamku odkryto wtedy groby tych oficerów - towarzyszy broni męża, których Sowieci w 1939 roku we wrze:niu pomordowali.

Idąc za radą Nieznajomej, znalazł mąż furmankę jadącą w stronę Iwowa, zajęta przez rodzinę składającą się z rodziców i dwójga dzieci, jak okazało się i ta droga mogła się skończyć tragicznie dla niego, albowiem wóz w drodze został zatrzymany przez patrol sowiecki, mąż dyskretnie wpuścił rewolwer w siano którym był wymoszczony wóz, żołnierze oglądali jadących - mieli już odejść - gdy jeden z nich patrząc na męża krzyknął: "w sztab z nim, u niewo aficerskie sapagi" ale i tu szczęście mu dopisało, bowiem zauważyli coś bardziej interesującego i tam pognali;

wtedy mąż zamienił z woźnicą buty i w nich wszedł do Iwowa, gdyż chłop wysadził wszystkich pasażerów jeszcze przed rogatką mówiąc, że musi wracać do domu.

Bóg dał że połączyliśmy się, zaraz trzeba było się ubrać, byliśmy zrujnowani, meble nadane w Gnieźnie nie doszły, nadchodziła zima. Wyszliśmy na miasto, aby coś kupić, ale to co zobaczyliśmy napełniło nas rozpaczą i smutkiem. Iwów nasze piękne ukończone miasto zostało skazane na zagładę. Prawie nie uszkodzone przez naloty niemieckie, teraz zaniedbane, brudne, pełne wrzaskliw-aroganckiej hołoty prowokującej zajścia uliczne, szczególnie niebezpieczne w tranwajach, gdzie przecież trudno się było usunąć aby nie popaść w konflikt. Cierpieliśmy moralnie, rozglądając się wokół i zadając sobie pytanie co z tego wszystkiego wyniknie. Trzeba było zaopatrzyć się w odzież, bieliznę, ale Sowietci pospiesznie opróżniali sklepy, magazyny ładując wszystko na ciężarówki. Przed sklepami z żywnością kolejki, już krakxchłak brakuje chleba i cukru nie mówiąc o mięsie, tłuszczu i jajach - ale wódki w bród. Idąc dalej zauważyliśmy coś co nas wreszcie rozweseliło, bowiem platforma ciężarówki zapełniała się nocnikami, które krasnoarmiejcy szybko ładowali. Nie śmiałabym się gdybym wiedziała na jaki użytek zostaną przeznaczone, otóż były to jedynie dostępne naczynia dla kołchozu i w nich otrzymywało się zapracowaną "pyszczę" bo wiadomo "nie rabotajesz nie kuszajesz" ; nawet choroba nabyta przez w czasie pracy w kołchozie nie uwalniała od tej maksymy.

Przechodząc przez Pl. Bernadyński w pobliżu D.O.K. zauważyliśmy odezwę skierowaną do oficerów polskiej armii, wzywającej do rejestracji a podpisaną przez Dowódcę D.O.K. gen. Iangiera. Mój mąż jako legalista chciał od razu to uczynić, ale go powstrzymałam przyponinając że należy do D.O.K. Gniezno. Właśnie nadszedł

mój brat Marcin, który walczył z Niemcami na Jyczakowie w randze ~~xx~~ kapitana, pokazaliśmy mu tą odezwę - tak on ją znał, ale nie upadł na głowę aby się rejestrować.

- Czy wiecie ilu tutaj na Pl. Bernardyńskim zastrzeliło się oficerów po ogłoszonym zarządzeniu? O Langnerze też mówią różnie. Jak widzicie zapuszczam brodę i idę w Karpaty jako robotnik leśny na Węgry.

Idzie też tam Kazik/~~xxxx~~ brat/ i Herman/ brat męża/ i kilku innych - zaczęłam prosić aby wzięli mojego męża, ale on postawił warunek, że pójdzie jeśli i ja pójdę. Odmówiłam ze względu na Tolusia.

Znikali znajomi, jedni w więzieniach, inni uciekali za granicę, opowiadano jak to kolejarze ocalili swego proboszcza z kościoła Św. Elżbiety. Uwiadomiono ich poufnie o groźbie aresztowania - wpadli więc na probostwo wyprowadzili księdza tylnym wyjściem, wsadzili na lokomotywę pociągu idącego w Karpaty i podając go sobie z lokomotywy na lokomotywę przez ławoczne dowieźli do granicy.

Słuchając tych wiadomości ~~ostreżęłam~~ męża, doradzając mu różne możliwości ukrycia się albo ucieczki, ale do niego to nie docierała. Wreszcie usłyszałam od siostry męża - że jeśli on <sup>uk</sup> czuje się zagrożony, żebym przestała go nękać. Dotknęło mnie to boleśnie, a usłyszałam to w dzień Św. Kazimierza, na imieninach jej zięcia, nic nie mówiąc że Kazio też właśnie idzie za granicę i to z Zosią - jej ~~a~~ córką, a powinni byli mu zaproponować.

Rozglądam się po wagonie, właściwie nic się nie zmieniło, pani na środku wagonu siedząc na swoim tłumaku coś mówi do Wandzi, ciągle nieprzystępna - ale po drugiej stronie wagonu, w dość obfitej pościeli, leży para młodych ludzi / może małżeństwo/, okazuje się że to rodzeństwo - rozgadali się przy jakiejś okazji i zapraszają mnie na rozmowę. Ona żona urzędnika kolejowego, on poufnie dowiedział się że ma być aresztowany, prosi żonę by tymczasem wyjechała do ojca, gdy on musi się ukrywać. Jej szkoda było mieszkania i nie usłuchała go, a z wieczora przyjechał jej brat przywożąc



od ojca zaprowiantowanie. Rano zaś przyszli ponią, do wywózki. Jednak miała sporę rzeczy, widocznie pozwolili jej zabrać, a brat pomagał się jej spakować. Pozwolono mu ją odprowadzić - gdy znalazł się przy wagonie krzyknęli: "Sadiś" & no i w on jedzie - bo Janka taka niezaradna. Wydali mi się sympatyczni, skracam ten czas na rozmowach z nimi, ale gdy widziałam dzieci kręcące się po wagonie, porywał mnie żal i tęsknota za synkiem, ale czy czarny chleb i woda wystarczałyby mu za pożywienie - napewno nie.

I znów zabrnęłam we wspomnienia - przecież we [wowie gdy Sowieci weszli nie można było kupić mleka, Toluś przybladł, stracił apetyt i stał się rozdrażniony, mąż też coraz gorzej wyglądał, ażeby zdobyć mleko trzeba było pójść na wieś, bo kobiety przestały do miasta przychodzić. Przypomniałam sobie, że przecież koleżanka moja Hajka Kurzówna uczy w Sokolnikach, spróbuję ją odwiedzić oczywiście - cie z blaszankami na mleko. Wyszłam rano, do Sokolnik trzeba było przejść przez Skniłów gdzie było lotnisko. Ranek był pogodny, spacer kilkukilometrowy zapowiadał się przyjemnie, zaczynały się przymrozki, Szłam szybko, minęłam Skniłów - słysząc warkot samolotów a potem strzały, ale do Sokolnik było już blisko. Od gościncea w dół na lewo zniżał się teren i tam w kotlinie rozłożyły się Sokolniki ze :liczną szkołą na przedzie. Cel wydawał się bliski, odgłosy z strzałów niepokoiły mnie. Z gościncea zeszłam na drogę polną, którą właśnie jechała furka naładowana drewnem. Spojrzałam chłopca, twarz miał przerażoną i popędzał konia, a z daleka było słychać jakieś wołanie. Nie oglądałam się do momentu, gdy usłyszałam za sobą stukot kopyt konskich i krzyk:

- Stoj bo strelaju - Odwróciłam się prawie nade mną zatrzymał się jeździec na koniu w munburze i wrzasną:

- Kuda?



Odpowiedziałam:

- Do wsi - i pokazałam w kierunku Sokolnik.

~~XX~~ zaczem?

- Po mleko - odpowiedziałam rozchylając torbę pełną blaszanek nawiądo, zawrócił konia - odjechał, nie wiem dlaczego postać moja okazała się tak podejrzana. Miałam spodnie, buty narciarskie, płaszcz i pilotkę na głowie, ale poczułam, że chyba śmierć przesunęła się koło mnie.

Podchodząc do szkoły podziwiałam jej piękną architekturę, czyściutka biała, miała coś w sobie ze stylu zakopińskiego, jak mi zresztą opowiadała Halka. Ona też zatroszczyła się o mleko, opowiadając podniecona o wizytacji, która właśnie przewinęła się przez tą szkołę. Wizytacja składający się z inspektora i "towarzyski" w chustce na głowie, oświadczyła zebranemu gronu nauczycielskiemu:

- Eto nie szkoła, to seraj<sup>x</sup> - ku oburzeniu zebranych przecież ona was prowokowała, aby mieć podstawę do aresztowania. Podziękowała koleżance za pomoc w otrzymaniu mleka, i opowiadając jej o swej niezwyklej przygodzie już nie próbowałam dalej go w ten sposób zdobywać.

Każdy następny dzień dzień przynosił ze sobą niespodzianki - oczywiście przykre. Z dnia na dzień polskie pieniądze zostały wycofane z obuegu, ate co mieliśmy, to była podstawa naszej egzystencji. Od tej chwili staliśmy się biedakami, nie mieliśmy co sprzedać, posiadaliśmy jedynie trochę biżuterii i srebro stołowe, które jadąc do lwowa przezornie zabrałam, ażeby było na chleb, mąż sprzedał zegarek kieszonkowy za 15 rubli, ale co dalej? Do pracy nie może pójść, aby się nie ujawniać, choćby to była praca fizyczna. Nastąpiło niwe strapienie znacjonalizowano prywatne mienie, a także więc Matka moja przestała być właścicielką kamienicy, a także swojego mieszkania, Musi płacić czynsz tak jak i my, a ponieważ oboje nie

X seraj - stajnia

~~etc czynsz tak jak i my, a ponieważ oboje nie~~ pracujemy wyznaczon  
nam opłatę około 130 rubli miesięcznie. Dowiedziałam się, że  
czynsz uległby znacznemu zniżeniu gdyby ktoś z nas się kształcił.  
Szukając różnych możliwości, wreszcie wylądowałam w Szkole Prze-  
mysłowej - wpisując się na dzieł kilimkarstwa. Nauka i praca przy  
warsztacie dawała mi pełną satysfakcję, ale dochodził do tego ję-  
zyk ukraiński, a z nim cyrylica, która dziwnie działała mi na nerw.  
Poza tym szkoła mieściła się na koncu Iwowa, dla oszczędności  
trzeba było chodzić piechotą. Wracałam do domu bardzo zmęczona i  
Matkę przy praniu. Kochała ona pranie, bieliznę pościelową często  
zmieniała, nie mogłam ją pozostawić samą przy balii, ani wpłynąć  
by się tak nie męczyła. Administrator o gębie zbójckiej i za-  
pitej, czując się już gospodarzem mienia sowieckiego wpadał o  
różnych porach, chyba dla kontroli. Był też zapewne konfidentem  
już drugim, bo pierwszy mieszkał za ścianą, na co wskazywały fakty  
bardzo nas niepokojące. Zamieszkał na prośbę kuzyna, naszego, który  
pracował jako dekorator w teatrzykach wojskowych. O mieszkanie we  
Iwowie wówczas było bardzo trudno polecał go jako porządnego czło-  
wieka z zawodu aktora, grającego do wojny w teatrzykach wojsko-  
wych, a teraz jest aktorem w Wielkim Teatrze.

- Mogą cioci wsadzić jakiegoś Sowietę- proszę lepiej jego  
Przyjąć.

Mama oddała mu piękny pokój bezinteresownie, zjawiła się nawet żona  
na o której się nie mówiło przedtem. Przybyli - od razu chcieli  
zawiązać serdeczne stosunki, ale myśmy nie okazywali zbytnej  
ochoty. Pan Stefański/ bo takie było jego nazwisko/ pożyczył nawet  
mężowi książeczkę do konsumu aktorskiego, gdzie można było nabyć  
towary, których już nie spotykało się w normalnym obiegu i właśnie  
ta książeczka naprowadziła nas na to podejrzenie, o którym już  
wspominałam.

-Popatrz- mówił mąż - wódka, wódka, wódka, ile on jej kupił w tym miesiącu, kosztuje tyle a tyle, a przecież ma tak małe pobory, bo mi mówił o tym.

Obserwowali kto nas odwiedza, a po wizycie pewnego majora W.P., który miał bardzo charakterystyczny głos, owa żona wpadła do nas dopytując się nachalnie kto nas odwiedził. Upewniło to nas w jakim kierunku idą ich działania - mogli wskazywać oficerów, którzy się nie ujawnili, a którzy mogli się potem znaleźć w Starobielsku.

Na razie działał admonistrator, dopytywał się Matki z czego żyje, a ona stojąc najczęściej nad balią mówiła:

- Widzi pan że z prania.

W czasach tych to nawet było wskazane stawać z łopata czy też z miotłą czy bodaj przy balii. Nasi znajomi panowie np. przez całą zimę wycinali lód na stawie Świtez, aby coś zarobić i móc uktyć się. Mąż chodził z siekierą i piłą po rodzinie i znajomych aby coś zarobić. Admonistrator radził nam abysmy się rejestrowali do wyjazdu na zachód, przyjechalismy z Gniezna i powinniśmy tam wrócić. Napewno zrobilibysmy to, aby uwolnić się od tego wszystkiego co nas nękało - ale wiedzilismy też i to czego niemiecka komisja od nas by zażądała, wszak mąż mój miał nazwisko typowo niemieckie, ale pochodził z rodziny od wieków spolszczonej.

Admonistrator potrzebował mieszkań dla przybyszów ze wschodu masowo przybywających do Iwowa, a matka bojąc się o nas starała się jakoś ten stosunek jego do nas zmienić i perswadowała mojemu mężowi, podając jako przykład mojego szwagara / który mieszkał o piętro wyżej/,

- Wiesz gdy Krauze/tak się nazywał admonistrator/ do nich przychodzi - Marian go sadza - podaje wódeczkę - a mąż odpowiadał:

- Z taką gębą posadziłbym go przynajmniej na 5 lat, toż to kryminalista.



Zapewne tacy urzędnicy rekrutowali się właśnie z takich wyrzutków społeczeństwa, którzy przy zmianie, które dokonała wojna - wychodzili z więzień jako gorliwi komuniści i robili na tym karierę.

Zarządzono paszportyzację, przedłożyłam zaświadczenie, że się uczę. Otrzywałam paszport, natomiast mężowi go nie dali, zaś w trzy dni potem go aresztowali. Tej nocy gdy przyszli po męża p. Stefański nie niczwał w domu, zapewne wiedział że to nastąpi.

Żyłam wśród tych wspomnień, ale myśl że jadę bez synka była mi najboleśniejsza, tymczasem zachorowało pierwsze dziecko, owe niemowlę z dolnej półki, wezwana przez konwojenta - lekarza. Zjawiła się lekarka w asyście - dała zastrzyk, powiedziała że to "wospalenie liogkoch" i odeszła. Znów dziękowałam Bogu że go nie mam. Niemowlę wyzdrowiało, jednak z kolei wszystkie dzieci zapadały na to zapalenie płuc i szczęśliwie wychodziły z tego, mimo tak prymitywnej pomocy medycznej.

Znajomi z drugiego końca wagonu zapraszali mnie na rozmowy. Zastanawialiśmy się czy nie udałaby się nam ucieczka i doszliśmy do przekonania, że jeśli ma się udać, to tylko jeszcze możnaby ją przeprowadzić na naszych terenach - wyskakując przez okienko.

Czekając wieczora przygotowywaliśmy się do tego przedsięwzięcia w miarę możliwości dystretnie, prosząc zaufane osoby by ponaszym wyskoku wyrzuciły za nami nasz bagaż. Właśnie nadchodził wieczór, posiad szedł powoli wspinając się pod górę, widzieliśmy głęboki nasyg, zdawało się że właśnie przyszła odpowiednia chwila, ale w wagonie podniósł się krzyk. Właśnie ten drugi mężczyzna - oznajmił że będzie bił w ścianę aby uwiadomić konwój. Więc i tutaj mieliśmy konfidentów i plan odpadł. Od tej chwili podpisywałam listę obecności, którą na różnych postojach tam podsuwano.

Przyszedł dzień kiedy ja zachorowałam - przypuszczalnie z wody. Podając nam wodę zaznaczano jak należy jej używać, nie

zwróciłam uwagi na to ostrzeżenie i po jej wypiciu zaczęła się ~~mxmxi~~ u mnie biegunka i to krwawa. Nie wzywałam lekarza, bojąc się, że zabiorą mnie do szpitala, a tym samym stracę łączność z Polakami. Zastosowałam zupełną głodówkę i wyleczyłam się, ale bardzo osłabłam - wtedy już cieszyliśmy się pewną awobodą. Na stacjach rozsuwano drzwi to był już ich teren, siadłam sobie w drzwiach spuściłam nogi i zrobiło mi się tak jakos mōło i spokojnie. Przecież przez tyle dni słyszało się tylko stukot kół o szyny - teraz miło słońeczko grzeje. Naprzeciw naszego wagonu, tak trochę w dole, stał mały biały domek z dwoma kłanami na zewnątrz. Z jednego kranu ~~upłynęła~~ wypłynęła woda - a obłoczek pary unoszący się nad nią wskazywał, że to ciepła woda. Zapewne widok ten wywabił pasażera z sąsiedniego wagonu, podbiegł do tego kranu pochyliwszy się rozkoszował się ciepłą wodą myjąc nią twarz. Przecież przez wiele dni umywalimy się tylko garstką zimnej wody. Ta przyjemność trwała krótko, bowiem nadbiegł konwojent, uderzył go w plecy tak mocno, że się zatoczył, na szczęście nie upadł, a prześladowca wrzeszczał:

- Zdzies rozwodzić griaż - przecież ta woda i tak ściekała do rowu nie użyta. Ile nienawiści do nas Polaków gnieździło się w tych ludziach.

Wschodziliśmy dalej, a stukot kół w zależności od dźwięku ściągania mnie do okienka, właśnie mijaliśmy ogromną rzekę groźną o rudych ~~wa~~ wodach, a most ~~był~~ był kilometrowy - była to Wołga. Jedyny raz było mi dane w tej pogróży oglądać cud natury. Obudziłam się bardzo rano promienie słońca wpadały przez okienko, wychyliłam się przez otwór i oniemiałam z zachwytu: pociąg spadał w dół, mijając las, u stóp jego z gęstwiny jasnej zieleni ~~wychylały się~~ dość rzadko rozrzucone młodziutkie drzewka iglaste przypominające araukarie/ roślinę tak przezemnie uwielbianą/, rosły one jakby na płytach opadających tarasami w dół a wśród tego rozkwitały



Dorodne tulipany koloru ciemnoróżowego. Wszystko tonęło w złocisto różowych kolorach wschodzącej jutrzzenki. Był to jedyny w tej podróży obraz zaczarowanej krainy. Myślę że mijaliśmy Ural, potem zaczął się step monotony z karłowatą brzoźką i Karaganem.<sup>1/</sup> Przeżyliśmy też buran<sup>2/</sup> ze strachem ale dość szczęśliwie. Zaczęło się od upału, zrobiło dziwnie ciemno, a właściwie powietrze zżółkło. Gdy spojrzałam przez okienko zauważyłam, że konwojent wdział maskę, szalała wichuta niosąc nie tylko piasek ale i małe kamyki. Zatykało płuca, sprowadzając ich zawsze o najgorsze pomysłałam - napewno w ten sposób nas wyduszą i będą zadowoleni. My ja jednak chcieliśmy żyć, maczaliśmy chustki do nosa w wodzie i kładliśmy na twarz, jakoś się łatwiej oddychało, pył i piasek pozostawał na chusteczce. W pewnej chwili zerwało nam część dachu ale to był już koniec burzy, zaczęło się rozjaśniać. Chyba trwało to wszystko z pół godziny.

Dach nam naprawiono i po dwu tygodniach tej jazdy w dniu 1-go maja raniutko zatrzymali nasz pociąg. Pod wagony podjeżdżały ciężarówki i zabierały nas. Jakiś dygnitarz każdemu do ręki dawał po 25 rubli i "maszyny" rozjeżdżały się uwożąc zesłane w różne strony, Przy okazji dowiedzieliśmy się że stacja ta nazywa się Usztobie i znaleźliśmy się w Kazachstanie. Auto którym jechaliśmy z drogi wjechało w step i tak stepem po trawie omijając kępy krzaków jechało dalej. Przejechaliśmy przez wioskę - drogą między chatami, rosło tam kilka wysokich drzew, a chaty podobne były raczej do lepianek / o czym się później przekonałam/. Wieźli nas dalej, zatrzymali się o jakieś kilka kilometrów dalej, Przy drodze ~~przy~~ tej stało też kilka lepianek, ale te były jeszcze niższe, <sup>wygdały</sup> tak jakby wychodziły z ziemi i tak było istotnie. Znajdował się też tam budynek drewniany nowy, który nazwano szkołą.

---

1/ Karagan - kolczysty krzew rosnący na stepie używany razem z "kiziakiem" jako opał.

2/ buran silny syberyjski wiatr, latem wiecie piasek, przybierając formę tromby powietrznej, zimą zaś choć temp. otoczenia podnosi się się zwykle do <sup>mi-</sup>5 stop C. powoduje ogromne zasy awiejąc niezraz przez kilka dni pociąga ofiary tak w ludziach jak i w zwierzętach.



że narazie możemy w nim pozostać:

- Poka nie ustroicie siebie doma.

Rozejrzeliśmy się dokoła. Pani Wilkowa tak bowiem nazywała się matka Wandzi, załamała ręce i zawołała:

- Nawet ani jednego drzewa aby się powiesić - równocześnie podniósł się krzyk i lament dwojga dziewcząt, które przytrzymywały krzyczącą matkę. Biedna wpadła w jakiś roztrój nerwowy, wyrywała się im i zaczęła uciekać, a one nieszczęsne nie wiedziały co robić, czy biec za nią czy pilnować swego mienia, Zdaje mi się że jednak szybko zorganizowano pomoc lekarską i odstawiono chorą do wsi którą mijaliśmy, którą nazywała się Georgiewka, tam bowiem znajdował się szpital. Obok szkoły stała jedyna studnia, zajrzeliśmy do środka - czuło się tu jeszcze zimę. Ściany jej wkoło były oblidzone chyba do głębokości 1 1/2 m. i dopiero bardzo głęboko błyszczała woda. Widać że zima niedawno opuściła te strony i musiała być tęga. Weszliśmy do szkoły, na ubitej ziemi leżało pełno wiórów, ale razem z panią Ulanowską uradziłyśmy że lepiej rozłożyć się w położonej szafie i tam też zamieszkałyśmy. Teraz wybrałyśmy się na zwiedzanie Berłyka, tak bowiem nazywało się to osiedle. Znajdowało się tam kilka lepianek, dotychczas nie widzieliśmy ani jednej twarzy z tego osiedla. Właśnie za węglem lepianki coś się poruszyło, podeszliśmy już w liczniejszym gronie, zobaczyliśmy niewłodą kobietę o ciemnej twarzy i wydatnych kościach policzkowych, uszy jej zdobiły duże srebrne koła. włosy nakrywała biała długa zasłona. Trzymając dziecko na ręce - a może ono się jej trzymało, formowała dłońmi placki z nawozu krowiego i układała je na dachu lepianki. Na przegubach rąk jej rąk kołysały się srebrne bransolety. Zdziwienie nasze nie miało granic, gdy dowiedzieliśmy się, że tak przygotowuje opał, bo o dzewo tutaj trudno, natomiast krzewy które mijaliśmy na stepie gromadzi się jako podpałkę a nazywa się je " Karagan" zaś

wyschnięty opał z nawozu to "kiszak". Przyglądaliśmy się dziecku które kręciło główką jak sówka, miało ładną okrągłą twarzyczkę, oczy czarne błyszczące jak tarki a na główce aksamitną marszczoną czapeczkę, do której przycienione były dziurkowane monety. Babka starała się uchronić dziecko przed naszymi spojrzieniami i znikła w lepiance.

Rozglądając się spostrzegłam ową parę z Tarnopola i kręcącego się obok foksteriera. Zaznajomiliśmy się i popłynęły zwierzenia: otóż zostali wywiezieni za brata, któremu udowodniono, że należał do tajnej organizacji, działającej we Iwowie na szkodę Krajów Rad. Proces się odbywał publicznie w Hotelu Krakowskim i brat otrzymał wyrok 10 lat więzienia. Oczekiwali tego zesłania. Ojczym był pracownikiem kolejowym i jako kolejarz był świetnie poinformowany co nastąpi, spakowani siedzieli na tobołach czekając na to co wreszcie przyszło.

Nim przenieśliśmy się do Gieorgiewki, o co wystarał się Zygmunt brat Janki, dane mi było w jednej z tutejszych chat oglądnąć autentyczną skrzynię krakowską, ale nigdy nie dowiedziałam się, jak w posiadanie jej doszła ta kazachska rodzina.

Po kilku dniach, albo sami Polacy starali się opuścić Berłyk, nie widząc tam możliwości zaczepienia się o jakąś pracę, wszak chodziło o tę "pajkę" ~~dyk~~ albo N.K.W.D. ich rozrzuciło,. Zygmunt mnie ściągnął do Gieorgiewki a pani Jlanowska pozostała, patrząc na mnie smutnie, może nawet z wyrzutem, że ją opuszczam. Czułam się nieswojo, ona potrzebowała opieki i były chwile kiedy tego serdecznie żałowałam.

## II. W Gieorgiewce

A więc znalazłam się w Gieorgiewce, jako cioteczna siostra ludzi poznanych w podróży, rodzina z przypadku nie rokuje trwałości. W Gieorgiewce kołchiz liczył kilka brygad, mnie z Janką przydzielono do brygady trzeciej/ o ile dobrze pamiętam/, a Zygmunt stał się pomocnikiem kowala czyli "młotobojem". Na razie przygotowali dom dla nowych kołchoźników, wobec tego przyjęła nas do siebie na kwaterę miła kobiecina, uproszona przez "prędsidatela" - "poka Kola nie wierniotsia" Kola był jej synem i na razie przebywał na urlopie, a kiedy wróci nikt nie wiedział.

Poprowadziła nas do swej chaty, powitały nas niskie kudłate pieski, ona zaś wprowadzając do środka uroczyście się pokłoniła w stronę ikony zawieszanej w rogu izby, przeżegnała się mówiąc: " Eto mój Boch", potem wskazała w prawo gdzie na ścianie wisiał plakat z Leninem: "Eto Boch moich dietceej" i tak zaczęło się nasze życie w tej izbuszce. Wróciła ze szkoły ładna Blondyneczka - Wieroczka, która przyglądała nam się nieufnie a nawet wrogo, do chwili gdy spostrzegła że wstjemy rano, idziemy bez sprzeciwu - i to nawet na bosaka z motykami do roboty. Przecież na mitingu mówili "Zdzieś, prejedut takije ludie, kotory nikakda w żyźni niczewo nie dziełali, ani sami nie kuszali, ich łózkami kormili". Coś to się nie zgadzało, nie tylko sami jedzą to co soboe na kamieniu zgotują, ale nawet idą do czarnej roboty. Resztę dokonała Janka wyciągając ze swego kosza ubiory i kapelusiki. strojąc ją w nie i prowadząc do lustra aby ono potwierdziło nasz zagwyt, bo rzeczywiście Wieroczka była śliczna - więc lody pęły.

Mundek pracując w kuźni czasem dostał kawałek jakiegoś ochłapa - z tryumfem przynosząc do chałupy, od Babuszki brałam



czuchun<sup>1/</sup> i na kamykach gotowałam rosół, to było już coś wystawnego. Wzięłam na siebie rolę kucharki, wstawałam raniutko - Janka zawsze miała za mało snu i przygotowywałam śniadanie, gotując albo "Fruktowyj czaraj" / herbatę z wycisków owocowych/ albo odciągnane wleko. Chleb pozostawał nam z poprzedniego dnia, mąsę powiedzieć, że był wspomniany, pszeniczny ale z grubego przemiału i miał jakiś niezwykły zapach. Mundek szedł do kuźni, a my z Janką na pole - zawsze boso. Pewnego razu ogarniając ziemniaki szłyśmy w jednej linii wraz z kazachczkami zawsze obutymi choć w podarte tenisówki, uderzyłam w coś poruszającego się w ziemi i to rozmiarów zgiętej dłoni, krzyknęłam po rusku! "Czto takoj?" - przyskoczyły Kazachczki z krzykiem "Tarantuł" i ubiły motykami. Był tojadowity pajak, wyjaśniła się zagadka dlaczego kobiety tam nie chodzą boso do pracy na roli.

Kola ciądle nie przyjeżdżał z urlopu, tak że na razie mogliśmy mieszkać, wieczorem siadaliśmy aby pogawędzić, to były moje lekcje ruskiego. Babuszka pytała o nasze życie, a Mundek po ukraińsku opowiadał o naszym minionym życiu o naszym dostatku, który opuściliśmy - a Babuszka na to:

I u nas ransze, kagda ludzie wieryli pszenica była kak jejcó, a kak zakryli cerkwi - wsio propało..

Najzabawniej jednak wypadały moje informacje, które starałam się przekazać jakimś łamymym językiem ukraińsko-polskim i zdawało mi się, że Babuszka rozumie, bo kiwała głową, ale gdy skończyłam oświadczały:

- Czto ana skazała? Ja niczewo nie panimaju.

Wieczory te kształciły nas, bowiem wprowadzały nas w historię czasów stalinowskich, w erę rozkułaczania w Kazachstanie.

1/ czuchun - jest to naczynie żelazne wewnątrz biało polewane w którym można gotować opierając go kamieniami przed domem czy na polu - a kształt jego ułatwiał zaczepienie go bokami nad ogniem lub wpuszczenie go przez dziurę w płycie kuchennej, Były także patelnie zwane "skoworotkami" ale bez rączki, Tak do czuchuna jak i skoworotki były ruchome żelazne uchwyty.

Nazwisko naszej gospodyni było niemieckie - zapytałśmy się jakiej jest narodowości, bowiem nazywała się Truchmanowa i wtedy zaczęła swą opowieść. W Gieorgiewce mieszkają "chachły" czyli ci, którzy przybyli tutaj dawno z Ukrainy, a także Niemcy którzy przybyli z nad Wołgi. Car chciał zapełnić ten step, dawał subwencje. " Rodzice moi mieszkający nad Wołgą wywodzący się z kolonistów niemieckich przyjechali wraz z innymi aby zagospodarować tę bezpańską ziemię. Wolno nam było brać tyle ile zdołaliśmy uprawić, a także dalej od domów zajmowaliśmy "zaimki" / gdzie mieliśmy pszczoły - tylko pszczoły, tam doglądaliśmy je i zbierali miód. Gdy podrosłam, wyszłam za mąż też za Niemca kolonistę. Mąż był bardzo zdolny potrafił zbudować wiatrak, step był życiodajny. na stepie żyły dzikie konie - łapaliśmy, żyły dzikie kury - łapaliśmy, żyły dzikie barany - rosła także dzika cebula, czosnek, szparagi, a czego nie było - tośmy sobie z nad Wołgi przywieźli, żyło się dostatnio i nawet biedny - włóczęga jeśli się zjawił był serdecznie witany i podejmowany, a był to jedyny łącznik ze światem. Siedział tak długo jak chciał i opowiadał co widział i co się zdarzyło na świecie, a gdy nas żegnał dostawał do worka kilka chlebów, słoninę, suszone mięso i mleko do wiadra. Pokazywaliśmy mu ręką jak ma iść by spotkać ludzi i szedł dalej. Dzieci nam rosły i niczego nam do szczęścia nie brakowało, nawet wiadomości o wojnie prawie do nas nie docierały i rewolucja nie była dla nas straszna. A-ż przyszedł rok 1933 w którym Stalin zarządził rozkułaczanie. Naprzód pozabierano Kazachom ich stada pasące się na stepie, a oni żyli z tego co wypasali, szli przez step całymi rodzinami i padali jak muchy, potem wzięli się do nas, Męża aresztowali jako kułaka - skazali go na 10lat więzienia, wiatrak zburzyli, zabrali nam wszystkie konie których mieliśmy 14, krowy oraz świnie. Mnie z dziećmi wsadzili na ciężarówkę / zaimki- ogrodzone poletka ziemi w stepie, gdzie trzymano ule.



i powieźli w tep, tak kręcili i kręcili aż straciłam orientację, wtedy wyrzucili z "maszyni" uciekli. Przekłam<sup>o</sup> przez 3 dni po stepie, już były przymrozki, w nocy tuliłam do siebie dzieci - Wieroczek była najmniejsza, był Marek teraz on w wojsku no i Kola - ten z starszy był najstarszy - troszczył się o nich jak i ja. Jednak przeziębiam się i chorowałam, kaszlałam i do dziś kaszle - może to gruźlica, która jego na nią umarła. Wtedy gdy nas rozkułaczali, po trzech dniach wróciłam do wsi - znalazłam swoją chatę nie do poznania, zostały tylko ściany, nawet sufit zerwali, piec rozwalili no i wszystko porabowali. Zaczęłam od naprawy pieca bo wiedziałam i pamiętałam jak to robił mój ojciec. Potem i innym naprawiałam, bo jak się okazało wszyscy we wsi byli kułakami i wszystkich spotkał ten sam los. Naprawiałam im piece, a oni za to dawali mi zboże, które ukryli w nich się ukryć. Miałam więc już coś do jedzenia. Powstał kołchoz, a w nim "prydsidatel", urzędnicy, rachmistrze - poszłam do roboty w polu a wieczorem sprzątałam biura. Zawsze w tej pracy pomagał mi Kola który sam nie wiem jak nauczył się czytać, pisać i rachować. Teraz jest rachmistrem/"szezowodem"/. Nie jest nam najgorzej. Tak Babuszka wprowadzała nas szczerze w tę "zadobną" rzeczywistość" prosząc jednak o dyskrecję:

- Tolko nikomu nie gawaricie ob etym chto ja wam skazała. Tak powoli stawaliśmy się przyjaciółmi. Ale władze pracowało nad tym, by Boże brońtak się nie stało. Przy pracy słyszałam: Ty masz oczyścić ten aryk<sup>x/</sup>, masz zrobić na "trudodiel" 120 kubawietrow - w aruska baba tylko 100, masz złożyć kopie cwa 60 a raska 50. Nigdy nie odpowiadałam nato; bo wiedziałam, że nigdy namza pracę nie zapłacą, pracowałam jedynie za ten kawałek chleba, który gdy już go miałam w ręku - wiedziałam że mi go nie wywą. Ale przyszedł dzień kiedy mi go odmówili. Przy rozrzucaniu gnoja, który był przygotowy-

x/ aryk - rów nawadniający











pola z motykami przyszła znajome panie, a widząc mnie leżącą na kółku ukłękły aby odmówić modlitwę.

Spbrzękłą ręką aż do ramienia, poszłam na drugą operację, nawet nie bardzo bolało, ale gdy potem wstąpiłam na pocztę gdzie miałam do odebrania pieniądze, po podpisaniu dowodu nadania przy okienku zemdlałam, na szczęście nie było nikogo za mną, bo mogłyby pieniądze zniknąć.

Ręka powoli kłęsała - wracałam do zdrowia i tak pewnego dnia idąc do przychodni zobaczyłam Hucuła w autentycznym ich stroju ale osobom nie wierzyłam - czy to możliwe? Zbliżał się bardzo powoli i twarz miał bladą, prawie zieloną. Ta postać przypominała mi moje szczęśliwe chwile, kiedy wędrując z mężem przez Gorgany i Czarnohorę, cieszyłam oczą wspaniałą przyrodą i tym prześlicznym ludem - gościnnym i towarzyskim. Podeszłam do niego i spytałam:

- A z witki wy?

- A z Żabiegoksa panunciu.

- A za szto wy popalił

- A tatunciu był komendantem straży pożarnej, taj zato wywieźli.

- Alezomu wy taki blady?

- Ja struż się na traktori - przyjechał do doktora, zakończyłam za niego . Więcej go nie spotkałam, Wieszkaniec tej cudnej górzystej krajiny łagodny jak owieczki i woły, które pasaż na połoninie, grający na trombicie przenosząc głos z góry na górę w radości czy dla ostrzeżenia, że idzie wielka woda , artysta malujący prześliczne pisanki, zdobiący drewniane talerze i ciupagi miedzią, koralikami i kolorem drzewem, tkający kilimy, lyżnyki. dziobenki <sup>✓</sup> tkane srebrną nicią, twórca przepięknej ceramiki o fantastycznej formie, ten z gór o kryształowym powietrzu, słuchający w dzień szumu Czaromосу a wieczorem chórów żabich - kiedy te

---

<sup>✓</sup>"Dziobenki" torby huculskie na szerokim pasie tkanym tak jak i cała torba tkana kolorowymi nitkami wełnianymi i srebrnymi. dziobenkę zakładało się ukosem, przez lewe ramię.



z prawego brzegu konczyły, aby te z lewego odpowiedzieć im - ale już w innej tonacji - ten artysta na Sybirze za co?, bo tatuś był komendantem straży pożarnej w Żabim i posadzili go na trawie aby się zatruł. Boże mój kiedy sprawiedliwość zapanuje na świecie.

Wreszcie dowiedziałam się, że opatranek można zmieniać co drugi dzień - od tego czasu plewiałam lewą ręką, chleb który dostawałam dzieliłam na połowę i tak jakoś żyłam. Pracowałam przy plewieniu szloneczników, gdy wracałam do domu, kogoś prosiłam o umycie tej lewej. Dlaczego ludzie dla których gotowałam przez wiele dni kawy służyłam bezinteresownie, nigdy nie poczuli się do obowiązku względem mnie, dlaczego musiłam im przypominać że mam brudną rękę? Wówczas zetknęłam się z krajnym egoizmem, Janka oświadczyła mi że nie chce chodzić koło chorych i nie będzie, już raczej jej brat Mundek to robił, gdy go poprosiłam. Biegły dnia, Janka prosiła mnie abym bratu jej dała swój płed podróżny i żeby z niego pod pierzyną. Zgodziłam się z pewnymi oporami, bo nie znosiłam pierza, pociełam się ale jej trudno było dzielić różko z bratem, on też dlatego spał na jakimś "Bambetlu", my obie na różku zielonomałowskim - ciągle myśląc czy ten Kola istnieje naprawdę i kiedy on przyjedzie. I rzeczywiście pewnej nocy ktoś zapukał do okna, tylko ja to usłyszałam, bo nikt się nie zbudził. Babuszka spała za piętą z Wieroczką, Janka obok mnie, Mundek na "Bambetlu" - nikt się nie podniósł - wstałam i wpuściłam go do domu, bo przecież wołała "Mama odkroj". Gdy wszedł zziwiony, Babuszka się poderwała, wyprawiła wiedliwiając naszą obecność - mówiąc że tymczasem tak w jednej z izb zamieszkało nas sześcioro.

Kola okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem, zupełnie przeciwieństwo swego starszego brata Michała, brudnego kołchoznika, który raz tylko przyszedł do Babuszki, pewno aby nas odłudzić i nie pytany oświadczył mi:

- wyjdiesz za mąż za kolchoznika, budziesz rabotać.

Na moją odpowiedź że ja nam nęta odpowiedział:

- Jewo rozstrelali, a jeali nie wyjdiesz za mąż to podochnieasz, koleż to "mika" słowo mnie ścigało - "podochniesz jak zwierzę".

Nikolaj był zawsze strannie ubrany jak na tamte możliwości, co prawda był pracownikiem uwyszowym, ale napewno miał dobre serce, gdy widział mnie pieszczącą lewą ręką /bo prawa była w bandażu/ i pieszczącą mówił:

- Na płacz, ty jeszcze niełodaja, wstretisz męża i riebionka, nie płacz. Skuszaj ja pojedz z tobaju na stancju, pokupiu tiebie bilet i ubieśaj na rodinu. Jedliby tiebia pojuali, nie gawari prawdu nikada, ale nie zabudź tewo szto skazała.

Narazie nie myślałam o ucieczce, ale ceniłam jego dobre serce dziękowskian, a on brał gitarę i grał, aby mnie rozweselić. Kola był naprawdę bardzo chory i chyba miał gruźlicę, bo w nocy nieraz napadały go ataki kaszlu, przez matkę prosił nas abyśmy się wypro-wadzili, bo jego to krępuje, że nas budzi kaszlem. Opaściliśmy wreszcie naprawdę gościnny dom Babuszki Trachnanowej, przydzielono nam mieszkanie w domu kolchośnym. Przedsiębiorczy Mundeck - wyczarował skądś połowę drót od stodoły, ustawił na kobyłkach i to było nasze wspólne łóżko. Mundeck przeniósł się na step, do pracy na praktorze, zabierając swój podręczny plecak, więc ja siłą faktu musia-łam wejść pod pierzynę zypiając razem z Janką. Skończyło się to dla mnie bardzo źle, albowiem gdy w nocy wstałam spocona itak, wyzła wyzłam przed dom/ wiadomo że noce są tam bardzo chłodne/, na drugi dzień nie mogłam przekroczyć progu, dostałam bardzo bolenego zapalenia korzonków nerwowych. Choroba ta odtąd towarzyszy mi już przez całe życie, z różnymi nawrotami - - ale tam przecież to praw-dziwe nieszczęście, bo znawu będę bez chleba. Odwiedziła mnie fel-czerka i zapisała jakąś cudowną maść, wtedy to poznałam Jankę Kola-sową oraz jej bratową Marysię Bajerową i one obie postawiły mnie na nogi - masując obolałe miejsca tą maścią. Pewnego dnia,



odwiedziła nasz dom osoba mnie nieznaną, ale entuzjastycznie powita-  
tana przez Jankę pani F. Przyjechała z zakiegoś pobliskiego kocz-  
chozu, postanowiła się tutaj przenieść z tratem męża swojego wdow.  
Nie będę się wdawał w koligacje tej pani, bo wszystko co mówiło  
wydawało mi się dziwne, przejawiała wiele sprytu tego w najgorzej-  
szym gatunku, a to wreszcie zdecydowało, że musiałam się wystać z tej  
fikcyjną rodziną. Z trudem odzyskałam mój płód już jednak mocno  
podniszczony. Zmieniłam mieszkanie, zamieszkując z młodą osobą i  
jej córeczką. W tym samym domu mieszkali - hrabia Zalewski z żoną  
składającą się z jego żony, dwu córek i siostry, Te ostatnie  
pracowały w polu, zaś hrabina spełniała wszystkie sprawy gospodar-  
skie ~~hrabia~~ - chyba tylko przynosił codziennie wieczorem mleko  
w marym wiaderku. Tylko hrabina rozmawiała ze mną gdy na. spotyka-  
łyśmy się przy wieszaniu bielizny, zawsze jej współczuła patrząc  
na te drobne spracowane ręce i ślady niewyhlęj urody. Żadne z jej  
córek nie dorównywała urodą i kiedyś gdy patrząc na te niebo gra-  
natowe i pełne świecących gwiazd - gdy powiedziałam że wydaje się  
tak bliskie, a jest tak odnas dalekie, przeczytowała mi dwawiersze chyba  
Gałczyńskiego, który powtarza:

" Matusz na, dąkami z nieba gwiazd, srebrny wóz -

... Aby gdy mi jest źle, w lepsze świnty mnie widzi".

Właśnie nad nami jechał on po niebie, wrugając nadzieję, bo myśmy  
zawsze wierzyli - że to jest tylko tymczasowa udreka i że musi  
się ona skończyć. Ja traktowałam to jako słą przygodę, ale ciekawą  
bo poznawałam przyrodę, tańszych ludzi, ich obyczaje, no i  
komunizm w tej ochyłej pażnej szarżowaniu i perfidii formie.

Pewnego dnia pod wieczór gdy w przysiadzie czyściłam okopcony  
czajnik piaskiem - dobiegł mnis daleki głos jakby ze stępu syste-  
matycznie powtarzający się - a przyponinający płacz dziecka coraz  
wyraźniejszy. Gdy był już całkiem blisko, na nasze obszarne pod-  
wórze wpadł wysoki płowy wielbłąd, a na jego grzbiecie siedziała



drobna postać ludzka. Był to Kazach, wstrzymał wielbłąda - krzyknął coś, ten posłusznie zgiął przednie kplana, opadł na ziemię i jakby jeździec zeskoczył. Powiedział coś do mnie, ale ja w pierwszej chwili nie rozumiałam tego dziwnego języka, podchodząc jednak do niego przyglądałam się jemu z ciekawością i nawet pewnym zachwytem - przecież to rycerz stepowy. Na głowie miał czapkę z żółtego aksamitu, która też osłaniała kark i czoło w formie daszka, podbita rudym lisem. Spod daszka spoglądały na mnie skośne czarne oczy, twarz ciemna, kości policzkowe wystające, a spod szerokiego nosa zwisały sznurki czarnych wąsów. Miał na sobie ciemnoniebieską ~~szk~~ długą bluzę, ale wciętą w stanie, na tym pas nabijany srebrem, a przy nim zawieszony na srebrnym łańcuszku kindź. Na nogach buty wysokie z wywiniętym mankietem sięgającym do połowy ud, wyściełone futrem baraním, ~~stąp~~ na piętach ostrogi. Gdy ponownie powtórzył pytanie jakimś urywanymi sylabami zrozumiałam: "Chaziain zdties?" kiwnęłam głową i pomyślałam sobie - tak wyglądali ci sprzed rewolucji i rozkułaczania ci mieszkańcy tej ziemi, tak im brutalnie wyrwanej.

Niedługo mieszkałam z tą młodą niewiastą, bo zaproponowano mi mieszkanie z rodziną przemiłą, serdeczną, pełną życzliwości - a bardzo było mi to potrzebne. Przygarnęła mnie Janka Kolasowa, która została wywieziona ze swoją matką, bratową - Marysią Bajerową i bratem męża. Mąż jej oficer jakoś w czas się ukrył i pozostawał na wolności, pomagając im dosyłanymi paczkami. Tam naprawdę poczułam się jak w rodzinie i nie trzeba było myśleć o ucieczce, która mnie murtowała od chwili gdy matka moja napisała mi że wiele osób już wróciło z Sybiru. Na razie pracowałam na polu, poznając przy łopacie czy motyce różne osoby z elity, które w ten sposób musiały sobie zdobywać szacunek władz i zdać egzamin społeczny, aby mogły pracować nareszcie w zawodzie przez

wiele lat wykonywanym. Tak poznałam p. Marię Brykozynską, sekretarkę konsulatu francuskiego władającą wielu językami, poznałam ap aptekarza/ nazwiska nie pamiętam/ który był właścicielem apteki na pl. Mariackim we Iwowie, w tak zwanej Szprecherówce, a także p. Kępykaima, właściciela sklepu z instrumentami muzycznymi firmy starej, z tradycją kupiecką. Wkrótce niestety pożegnaliśmy go ~~oczywiście bez księdza~~. ~~na zawsze~~ - pochowany został w prześcieradle ~~nie~~ w trumnie, ~~oczywiście~~ bez księdza. Na tym pogrzebie byłam, ale na inne już nie poszłam. Ten wystarczył mi na całe życie. Trzeba było wrócić do tego <sup>tego</sup> szerego życia.

Pewnego dnia wracając już pod wieczór całkiem niespodzianie znalazłam się w zaczarowanej krainie pieczarek, poprostu cały ~~kan~~, zastąpił mi drogę. ~~abyły~~ tak śliczne, biało-jedwabiste, różnej wielkości. Stałam zdumiona, oglądając się dookoła czy wolno mi będzie w tym kraju głodu, tak samowolnie sięgnąć po ten rarytas. Ale pragnienie było silniejsze od strachu, nabrałam pełny fartuch i biegłam do domu ciesząc się ile radości sprawię przymieszeniem takiej zdobyczy. Niestety wywołałam tylko strach. Janka pobiegła do ruskiej gospodyni - pytając czy oni to jedzą, ta krzyknęła że ze to trucizna i że tego nie jedzą. Ale ja nie dałam się nabrać na takie gadki, oświadczyłam że nie zrezygnuję z takiej zdobyczy i zgotowałam sobie na kolację, choć otoczenie mnie zaklinało bym tego nie robiła. Były wyśmienite, spałam po nich doskonale i zbudziłam się zdrowa, apieczarki właśnie tam rosły ~~kanami~~ - gdzie przygotowywawano "kiziak" na opał.

Zaproponowano mi pracę inną- wysyłali ~~wysyłali~~ brygadę w step do koszenia owsa i trawy, a nie mieli kucharki, ~~zwrócił~~ się z tym do mnie /szczotowod" / rachnistrz/. Odpowiedziałam, że się namyślę. że ręka moja ~~jeszcze~~ niesprawna - bo właściwie tylko trzy palce pracują, a dwa są zgięte - no i poszłam się radzić przyjaciół!







- Wychodzi za minia za muź, wot budziesz tak kuszat 9 a wymowny ruch jego ręki podniesiony wyżej głowy dosadnie to demonstrował. Pozosrała mi tylko modlitwa. Na piżamę włożyłam szlafrok, położyłam się pod ścianką i tak szczęśliwie przespałam do rana. Księżyc za zachodził a mrok powoli ustępował światłu, gdy ze stepu nadciągał koniuch z tabunem koni. Był to ich wypoczynek - pasły się całą noc. zatem "bałagan" koniucha był w nocy nie zajęty, wobec tego postanowiłam że tam się na następną noc wprowadzę. Działam do wyżywienia 17 chłopów, a ze wsi jeszcze przyjechać miały kobiety do grabienia - osiem bab, a więc trzeba było robić obiad na 25 osób. "Szczotowod" nadal siedział po turecku pod ścianką kuchni i coś liczył - wprowadzając mnie w arkana mloch obowiązków, święc: "Oczyścisz całe wiadro ziemniaków i będziesz gotować jepokrajane z mięsem, potem podasz im w miskach gdy wrócą z pola". Nie łatwo szło mi to struganie ziemniaków, przy niesprawności ręki, ale trudno było się wycofać. Podałam obiad, pomyłam miski, ludzie poszli w pole. Po godzinie odpoczynku znów miałam przygotować kolację, a potem spać. Zabrałam pościel i wprowadziłam się do "bałaganu" koniucha. Było tam zacisznie, ciepło i bezpiecznie, spałam ~~masna~~, tak mocno, że dopiero zbudził mnie <sup>u</sup> niedaleki śmiech i gwałtowne wtrgnięcie właściciela "bałaganu". Porwałam się z całym moim dobytkiem zawstydzona, bo przespałam porę przygotowania śniadania, ale jakoś to naprawiłam i znów uwikłana w codzienne zajęcia zaczęłam rozmyślać jak urządzić sobie następny nocleg, albowiem mój nachalny "konkurent" nie zamierzał <sup>uraco</sup> do wsi przed nocą. Gdy wszyscy już ułożyli się do snu, wzięłam moją pościel, podeszłam do brygadiera, który spał na skraju dużego "bałaganu" i poprosiłam go aby pozwolił mi położyć głowę na worku owsa, wtedy napewno nie zaśpię i śniadanie będzie w porę

Właściwie spałam pod gołym niebem, ale nareszcie wykurzyłam natrętnego wielbiciela, ku radości przyzwoitych chłopów. Odtąd życie tam układało mi się całkiem możliwie. Po pracy przyjechało chodzili do mnie na pogaduszki, a najbardziej interesowała ich wprawa jakie są zarobki na zachodzie i jakie były w Polsce, oraz co można było kupić za dniówkę pracy. Wszyscy byli porządnymi ludźmi, bo w innym wypadku - gdyby to doszło do N.K.W.D. za te informacje otrzymałabym co najmniej 5 lat więzienia. Na razie nie przypuszczałam że i takie nieszczęście mogło mnie spotkać i szczerze im odpowiadałam. Spośród młodych chłopców, którzy tam pracowali, wzruszał mnie Szuśka, źle ubrany w starych tenisówkach, zawsze zmarznięty, bo właściwie noce były z przymrozkami. W porze obiadu wchodził do kuchni i prosił: "Cioteczka- proszę mięso z kosteczką" i tuż się do pieca w przysiadzie ogryzał ten przysmak, a jako rewanż wyjmował ze swojej kieszeni czarnymi rękami owoc dzikiej róży już przemarznięte, które gdzieś znalazł na stepie. "Przynosił wam pokuszajcie" - był podobno pełnym sierotą. Prawdziwym przyjacielem moim był Koniuch, który gdy pewnego dnia na stepie zajęli krowy z kazachskiego kolchozu, doił je i podsuwał mi mleko, bo wiedział że go dawno nie piłam, podczas gdy oni je mieli, przywożone okazją ze wsi, a przysyłane przez żony. Kolchoźnik pracuje w każdy dzień przez całe lato, dopiero padają deszcz/bardzo rzadko/ uwalnia go od tego obowiązku. Nastał wreszcie pora deszczowa, ale musiałam pozostać na stepie aby gotować Koniuchowi. Pewnego wieczoru zjawił się Isaj, powiedział że na pewno mam mięso i żeby się nie zepsuło żrzeba go zjeść.

- Ale zdiełaj jak w Polsce - spróbowałam zrobić bitki w tym ołbrzymim kotle. Koniuch jadł przyzwoicie, a Isaj ciamkał, delektując się, najgorsze że nie chciał iść spać do bałaganu tylko położył się w kuchni i to za piecem "bo wże wołki podcho- diut - ja pugaju się" - a przecież drzwi nie było - tylko otwór,



jeśli się do mnie te wilki dobiorą? Nos minęła szczęśliwie, Isaja napędziłam do Tatiany na wieś, a po deszczach przyszała pogoda. Ludzie jednak nie przyszli do pracy więc koniuch zaproponował mi przejażdżkę konną do wsi?

- Dam тебе łożać kak te bionok, pojedziesz na niej w dierewn: i przywieziesz siebie czto tiebie nużnoy. Podprowadził konia, zarzucałam koc na grzbiet pomógł mi wsiąść na konia i pomknęłam do wsi. Ucieszyłam moich przyjaciół, napchali mi pełne kieszenia ogórków i podprowadzili mojego "Prowodnika". tak bowiem nazywał się kon. Załamali ręce i zawołali: "Popatrz, przecież on cały zawszony". Nawet zwierzęta tutaj w tym kraju cierpią. zanieczyścisz sobie koc. Powrót był mniej udany, spiesząc się i próbując anglezować bez siodła i strzemion, zgubiłam koc. Musiałam wracać by go odnaleść. Znalazłam szybko ale na konia nie udało mi się wskoczyć bo przeszkadzały mi kieszenie pełne ogórków. przywiozłam jednak też sobie furo aby się nakrywać, bo w nocy było mi zimno. Kończyła się praca na stepie, przyjechał konno "prytsidatel" zwijać obóz. Zapytał w koncu czy robotnicy są zadowoleni z kucharki:

- Oczen charaszo warit i nikawo na noc nie puskajet - tak więc otrzymałam wspaniałe referencje,

- Tak bierite ją z soboju- zarządził "prytsidatel". Zabrali mnie więc, a gdy znalazłam się już blisko nowego obozu, właśnie tam gdzie była ta murowana zamykana kuchnia, zobaczyłam przed kuchnią ruską babę a obok niej pomagającego jej strugać ziemniaki chłopca. No mają tu kucharkę, która napewno na noc "puskajet". Obróciłam się na pięcie i piechotą próciłam do domu.



### III. Próba ucieczki

Był już październik, nie pamiętam którą z nas była inicjatorką tego ryzykownego przedsięwzięcia jaką stanowi poruszanie się po Związku Radzieckim bez przepustki, a co dopiero ucieczka. Gdy wręczyno nam paszporty może i mówiono, że wolno nam poruszać się tylko w ~~żarmód~~armódskim rejonie jako "spocperesilencosy" - ale przecież myśm nie rozumieli co do nas mówią. Postanowiłyśmy jednak zachować tajemnicę na wypadek gdyby zainteresowano się naszą nieobecnością. Pora nie była odpowiednia, zbliżała się zima.. Mogłyśmy jednak dzięki temu wziąć futra na siebie anie jak ucześnie bagaż. Trzeba się było bowiem liczyć z tym, że nieraz przyjdzie nocować pod krzakiem lub tułać się, ciągle ukrywając swoją polskość i cel podróży.

Marysia Bajerowa dowiedziała się, że pod wieczór wyjeżdża ze Stacji Usztobie, pociąg w kierunku Nowosybiraka. Pani Maria Brykczyńska i ja miałyśmy jej towarzyszyć, zabierając mały podręczny bagaż, ale Marysia postanowiła aby też zabrać mały neseser pełen srebrnych monet polskich. Przeliczyła się ~~jednak~~ swoimi siłami i ja musiałam wziąć to na siebie. Do stacji Usztobie dojechałyśmy ciężarówką, która pełniła rolę autobusu, ale na pociąg do Nowosybiraka trzeba było czekać do wieczora. Wieczorem wsiadłyśmy do pociągu, umawiając się że nie będziemy rozmawiać ze sobą, a p. Brykczyńska miała być naszą ciotką i tak jadąc całą noc, rankiem znalazłyśmy się w Nowosybirsku. Tutaj trzeba będzie kupić bilety do Kijowa - kto to nam załatwi? Wierzyłam w sprat Marysi. Rzeczywiście - gdy wysiadłyśmy na dworcu w wielkim tłumie, unika-~~jąc~~jąc umundurowanych N.K.W.D.-ystów, Marysia dojrzała jakiego mężczyznę, zagadała go i ten zaprowadził nas do swego domu, abyśmy wypoczęły przed podjęciem dalszej podróży. Domek był miniaturowy, przy wąziutkiej ulicy składającej się z różnych szepk*ów* i przy

budówek opadających ku rzece Ob. Gdy małyśmy się u przygodnych gospodarzy to przy tej okazji razem z wodą wylałam na podwórko złoty breloczek zawieszony na czerwonej nitce. Gospodyni odniosła mi go, mówiąc że oddaje co znalazła i dziwiła się bardzo naszej odwadze, że z taką ufnością zamieszkałyśmy u nich, gdyż tutaj wokół mieszkają sami zbóje, którzy mogą zamordować obrabować i wrzucić do Obu. Wiedziała doskonale że jesteśmy Polkami i opowiedziała nam jak to przez Nowożybirsk etapowano Polaków. Poprowadzono ich do łaźni a potem za kotłem znaleziono martwą starą kobietę z wnuczkiem, oboje się upiekli. Na drugi dzień sprawę biletów ktoś zaufany gospodarza załatwił, poszliśmy na miasto. Na przeciw całkiem europejskiego dworca - stał teatr, trudno było doszukać się w jego architekturze jakiegoś stylu, było i "Bizancjum" gdzieś tam u góry doczepione kolumny doryckie; wszystko to razem przytłaczało ogromem, może o to właśnie chodziło. Niedaleko stały jakieś wysokie kamienice, zaś nieco dalej już drewniane parterowe domki: miały one bardzo wymyślnie zdobione fasady i ramy okien w ząbki jakby haftowane, nawet wyloty kominów osłonięte były żelazną koronką a rynny wyrzucały wodę przez rozwarte paszcze smoków. Prześliczne były te domki, zaś odrzwia były szczególnie bogato zdobione jak nasze góralskie. Okna były drewniane, ta ilość drewna wskazywała, że okolica obfitowała w lasy. Zobaczyłyśmy olbrzymią kolejkę przed jakimś sklepem, sprzedawano cukier. Stałam, powiedziano mi że jestem 162. Nie stałam długo - ludzie zawiedzeni opuszczali ją, bo już zabrakło dla plebsu cukru, ale wewnątrz sprzedawano torty i ciastka za ciężkie ruble. Marysia nie wytrzymała, nie widząc takich wspaniałości od dobrych czasów lwowskich kupiła tort a także francuskie ciastka, zaś biedni ludzie snuli się po sklepie przełykając ślinkę.



Bilety nasze zostały załatwione , - przez Moskwę ale nie do Kijowa lecz do Charkowa. Jedziemy dalej ale tutaj w wagonie się mieszka, bo podróż będzie trwała kilka dób, a w nocy się śpi. Wagon jest obsługiwany przez konduktora i pomocnika, którzy mają w swej pieczy tylko ten wagon, mają piecyk, gotują herbatę a przy tym pomocnik cały czas zmiata podłogę bo Rosjanie przez cały czas podróży jedzą ziarna słonecznika a osłonę wypluwają na podłogę, oczwiascie tak się dzieje w przedziałach. My jechałyśmy komfortowo, bo w coupé a ja jako zaopatrzeniowiec nawiązałam stosunki z konduktorem, który prócz herbaty darzył mnie wiadomościami, które wprowadziły mnie nie dziwiły, ale w które nie wierzyłam. Widząc Polkę chciał biedaczek sobie ulżyć i nachylając się do mojego ucha szeptał "tolko spiczku zażygnuć a wsio zgorejet". Raz na jednej ze stacyjek gdy jako zaopatrzeniowiec pobiegłam do otwartego sklepika coś kupić, ale takich jak ja było więcej musiałam więc czekać ; w pewnym momencie widzę, że pociąg rusza. Dobiegłam do ostatniego wagonu - w biegu, wciągnięto mnie i konduktor zaczął mnie "rugać". zasób miłośów był bardzo ubogi, kiwałam głową i głaskałam go po rękawie, pomógł, nie oddał mnie w ręce milicji. lecz pomógł przejść do właściwego wagonu. Dojechałyśmy do Moskwy i wysiadłyśmy na dworcu Białoruskim. Pociąg do Charkowa odchodził na drugi dzień rano, wobec tego postanowiłyśmy przejechać się tramwajem i pozaglądać w okna mijanych domów. Również tu widziałyśmy niedostatek, okna bez firanek, a wnętrza oświetlone jedną biedną żarówką pod kliszem. Wróciłyśmy na dworzec ciągle zmiatany przez kobiety. Rzeczywiście panowała tam idealna czystość. Pani Maria czuła się ogromnie zmęczona i udała się do hotelu dworcowego aby choć trochę wypocząć przed dalszą drogą. Zbudzono ją co do minuty i pojechałyśmy dalej do Charkowa. Tam na dworcu kupiłyśmy bilety do Kijowa gdzie znalazłyśmy się po południu.

Pzed kasą do Lwowa ~~ata~~ długiego ogon, ja jedna miałam paszport lwowski i o naowności, miałam na niego kupić 3 bilety. z daleka widziałam kasjera a nad nim pochylonego N.K.W.D.-ystę, gdy kasjerowi podałam paszport, ten odwrócił się i to narazie nas ocaliło, kasjer przejrzał paszpor "propiski niet" i rzucił go. Czym prędzej odeszłam, pociągając za sobą towarzyszkę. Zrozumiałyśmy, że teraz nie pójdzie tak łatwo i znowu Marysia wiedziona jakimś niebywałym sprytem zaczęła starszą kobietę, pytając o nocleg dla nas. Owszem ona pokaże gdzie mieszka, ale to może nastąpić wtedy, gdy mąż jej, który jest stróżem nocnym wyjdzie z domu- wtedy będziemy mogły się przespać, ale rano nim on wróci musimy opuścić mieszkanie. Musiałyśmy przyjąć te warunki, choć zdawałyśmy sobie sprawę jakie będzie to uciążliwe. A więc gdy szedł na stróżówkę na ~~z~~ wieczór, mogłyśmy unikając sąsiadów cichutko wejść. coś przegryść i spać na podłodze, a rano nasze mienie gospodani chowała do jakiegoś schowka i znikaliśmy na cały dzień. Trzeba było się czymś pożywić a potem zwiedzałyśmy Kijów.

Ulica Kryszczatik - chyby zachowała swoją historyczną nazwę upamiętniającą przyjęcie Chrztu Świętego przez ówczesnego władcę Włodzimierza, który stoi trzymając krzyż w rękach, patrzy w dół na Dniepr, a ten płynie po progach zachwycając oko. Z prawej strony pnie się wysoka ściana zieleni, a wśród niej stopniowo pod górę wyrastają pałacyki czy też wille zapewne pamiętające świetniejsze czasy.

Wychodząc z domu prosiłyśmy gospodynię by dowiedziała się, czy jest jakaś możliwość wydostania się z Kijowa unikając dworca kolejowego. Okazało się, że rzeczywiście jest- można jechać autobusem do Berdyczowa, tam kupić bilet ale tylko do pieczanówki. Od tej stacji zaczyna się strefa graniczna i trzeba już mieć przepustkę, słowem stara granica z Polską została zachowana, Jedziemy do Berdyczowa, naewet udało się nam zjeść coś co mogło przy pominać obied. Tu już spotkałyśmy kościoły ale zamknęte. Marysia znalazła łaźnię i mnie tam wciągnęła, a pod wieczór znalazła locum,





napewno znał nazwiska lwowskich lekarzy, bo podobno przez cały rok przebywał we Iwowie, wróciłyśmy na kwaterę z której nas zabrano, gospodarz starał się to naprawić twierdząc, że nie miał z tym aresztowaniem nic wspólnego, naewet dawał rady jak iść w stronę granicy. Nie pamiętam jednak kto załatwił mi bilet do Pieczanówki, może kupiłam sama, dość że postanowiłam rozłączyć się z tymi paniami. Bałam się, że materialnie nie dotrzymam im kroku. Wsiadłam do pociągu, jednak nie jechałam długo i wysiadłam w Pieczanówce, gdyż tam zaczynał się pas graniczny. Był wieczór, postanowiłam zaczekać do rana i pójść, trzymając się linii kolejowej jak mi radził gospodarz. Z powodu moich słów w języku rosyjskim był mizerny, gdy porzucałam moje towarzyszek poprosiłam p. Marię, aby mi powiedziała jak zapytać o drogę - "kuda eta pud wiediut" - to miało mnie zaprowadzić do Iwowa.

Gdy zaczęło świtać, wyszłam ze stacji i natychmiast wpadłam w błoto po kostki. Mimo butów narciarskich, poczułam wilgoć. Pierwszą napotkaną kobietę zapytałam - tak jak mnie nauczono i ta odpowiedziała:

- Chralin a tam wasze rodzienniki żywóć?

Pokiwałam głową i poszłam dalej. Teraz już szłam ścieżką przy torze kolejowym, roz pogodziło się, ale przez noc spadł śnieg i przyszytych świerki rosące wzdłuż toru były nim przysypane. Szło mi się dobrze, pokazał się błękit i słońeczko zaczęło grzać, tor skręcał w lewo, z prawej strony wyłoniły się jakieś budynki a teraz tor wchodził na most. Na moście zobaczyłam żołnierza z karabinem stojącego pod grzybkim, w dole płynęła rzeka. Postanowiłam zejść w dół rzeki bo właśnie zauważyłam jakieś czółno. ale i tu nie było łatwo, bo teren pokryty był zasiekami z drutu kolczastego. Gdy tak badałam teren, z mostu odezwał się głos:

- Ciotka kuda?

Ta droga była dla mnie zamknięta, trzeba było porzucić linię kolejową i przejść na prawo w stronę tych budynków. Także i tutaj



wyłonił się mostek, a na nim strażnica i wąskie przejście i straż jak na moście. Rozmyślając jak mi przyjdzie pokonać tę trudność, zauważyłam że właśnie przeszła tym mostkiem jakaś kobieta i posterunek przepuścił ją bezlegitymowania, spróbuję i ja. Szłam pewnie, futro miałam okryte czymś w rodzaju płaszcza uszytego z szaro-brunatnego koca, pled podróżny zarzuciłam jak wiejską chustę okrywając nią głowę a w ręku niosłam kobiałkę. Wchodząc na mostek nie patrząc na żołnierza - wytarłam nos rękawem i poszłam dalej. Weszłam na teren wojdkowy, Budynek - to koszary trochę dalej, bo teren opadał wśród drzew na rozłożystym konarze, wisiała szlachtowana krowa koło której kręcił się żołnierz. Trzeba było jak najprędzej wydostać się z tego terenu - i jakos mi się to udało. Wyszłam na gościniec, poczułam głód i pragnienie nigdzie żadnej studni, ale znalazłam na drodze marchew i dwa już zmarzniete buraki. Marchew można było zjeść, ale ziemniaków nie mogłam. Droga pięła się pod górę i po prawej jej stronie w polu gromada ludzi pracowała przy burakach. Postanowiłam odpocząć, przeszłam na lewą stronę drogi, weszłam w pole i usiadłam wśród krzewów. Postanowiłam się pożywić ale niebawem usłyszałam za sobą tętent konia, gdy obejrzałam się zobaczyłam, że ktoś pędzi na koniu. Pewno jakiś "prytsidatel" pomyślałam, bo pędził w kierunku pracujących, gdy przejechał koło mnie czym prędzej zrobiłam przysiad i rzeczywiście odwrócił się ode mnie, znowu ocalałam. Najgorsze było to, że musiałam iść na zachód, w kierunku granicy. Już było dobrze po południu, słońce przesunęło się w kierunku zachodu, a ja szłam tyle godzin. Najbardziej dokuczało mi pragnienie, przede mną szeroka szosa lekko wznosząca się w górę, a na lewo poniżej gościńca w polu przysypanym śniegiem, mała wioseczka oświetlona zachodzącym słońcem. Zeszłam z drogi w nadziei, że może mnie przenocują. wybrałam drugi dom - weszłam zastałam kobietę na moją prośbę czy mnie przenocuje zapytała

- A propusk u was <sup>jesca</sup>

Odpowiedziałam, że paszport jest.

- Eto mało, u nas przychranicznaja zonna - nie magu, zawchoz dożny znać.

Poprosiłam o wodę do picia, podziękowałam i poszłam. Wyszłam na gościniec, widziałam nadjeżdżające fury pełne butaków, ale nie widziałam powożących, konie nie poganiane same ciągnęły, aż dopiero na koncy przy trzej furze, szli zataczając się ludzie z batogami: dwóch chłopów, a między nimi baba. zrównali się ze mną i wówczas jeden z nich próbował mnie objąć. Uskoczyłam w bok i w tym momencie zatrzymało się obok nas wojskowe auto, z szoferki wychylił się jakiś wojskowy i zawołał:

- Ciotka kuda tiebia?

Mnie zatkało, zaczęłam się jękać, a on krzyknął:

- sadi sia.

Wsiadłam po kole, ale ponieważ od strony sz<sup>o</sup>ferki siedział jakiś żołnierz, bojąc się <sup>in</sup>idagacji, pozostałam w tyle, Znów musiałam kryć moje futro, które przy podskokach maszyny pokazywało się. Auto pędziło, mijaliśmy hangary, pola ćwiczebne, koszary, a mnie włosy stawały na głowie ze strachu, jeśli mnie tu złapią to bez sądu dostanę kulkę jako szpieg. Chyba tylko modlitwa mnie uchroniła, auto mknęło właśnie w kierunku zachodzącego słońca, zapadał zmrok, wjechaliśmy między drzewa - auto zatrzymało się, z sz<sup>o</sup>ferki wyskoczył mój obrońca i zawołał:

- Szepetiwka chwatit tiebia?

Odpowiedziałam :

- Spasibo chwatit - wepchnęłam mu w rękę 50 rubli i zniknęłam wśród drzew. Poszłam jeszcze dalej w las jak mi się zdawało - wszędzie leżał śnieg. Był to dzień imienin mojego Ojca - dzień Św. Tadeusza. Znużona usiadłam sobie pod drzewem i modliłam się gorąco, prosząc o opiekę Matkę Najświętszą, a także Ojca mojego



o wstawiennictwo do Boga. Coś jeszcze znalazłam w kobiałce do zjedzenia zasnęłam. Naraz zbudził mnie okropny huk - poderwałam się, okazało się że znalazłam się obok szosy, a na niej stało auto w którym pękła dentka. Wróciłam pod moje drzewko i zasnęłam ponownie. Śni mi się towarzystwo, które upuściłam, widzę poirytowaną p. Marię czyniącą Marysi wymówki z powodu naszej rozłąki, ale znów coś się dzieje, słyszę jakieś liczne głosy. Otwieram oczy, a obok mnie przesuwa się całe towarzystwo złożone z kobiet i mężczyzn idące gęsiego tuż koło mnie; znów się śmierć koło mnie przewinęła. Chyba byli to oficerowie, może lekarki, wracające z kasyna do koszar, bo koszary znajdowały się tuż obok. Przekonałam się o tym gdy po raz trzeci zostałam zbudzona do dnia - tupotem nóg żołnierskich wykonujących ćwiczenia na komendę.. Zeszłam do toszosy i tam zobaczyłam szlaban zamykający ją i też pilnowany. Siąpił deszcz, nadeszła jakaś kobieta którą spytałam:

- Kuda eta pud wiediote?

odpowiedziała:

- Na hrywe.

Zapytałam:

A dalsze?

Odpowiedziała:

- Rieczka:

- Kakaja rieczka?

- Horyn, a dalsze cgranica pochraniczniki i sobaki jeść.

Pomyślałam sobie żadna to rzeczka wszak to duża rzeka gdyby to było lato, może by mi się udało wszystko to przebrnąć i przepłynąć Horyn, bo doskonale pływam, ale o tej porze to szaleństwo. Zmieniłam kierunek i zaszełam wracać do Pieczanówki. Gdy opuściłam Szepetówkę, spotkałam stojące przy gościńcu parę kobiet, które miały jakąś żywność do sprzedania. Napiłam się kwaśnego mleka i kupiłam ćwiartkę białego chleba.

Niewiem z jakiej strony przyplątał się do mnie jakiś pies, duży biały z butymi plamami, rzuciłam mu kawałek chleba i już mnie nie opuścił. Zapadał zmrok, nogi bolały, widziałam posiąg oświetlony jadący w kierunku Iwowa, ale czas było spocząć. Zeszłam z drogi między chaszczce i wysokie burzany, przegięłam je i położyłam się jak w kolebce, pies ułożył się w moich nogach i zasnęliśmy.

Zbudziłam mnie deszczyk, już dniało. Spojrzałam za siebie, przecież niedaleko, tak bardzo niedaleko stał kościółek otoczony cmentarzem na to wskazywała konfiguracja terenu: systematycznie ułożone podłużne kopczyki przykryte nieśmiało śniekiem, ale i bez Krzyży, zarosnięte zeschniętymi chwastami. Właśnie tutaj znalazłam spokojne miejsce do snu. Dopiero zaczynało świtać. Nie byłam wypoczęta, trzeba było znaleźć inne miejsce do wypoczynku, zwłaszcza że padał deszczyk, który natychmiast zamarzał. Rozglądając się spostrzegłam otwór duży pod gościńcem który nieco się wznosił, był zapewne zbudowany dla odpływu wody w czasie ulewy, weszłam tam nieco pochylona, kanał był ocembrowany, nawet pozostawiono tam uszkodzone części cembrowiny, , które znakomicie nadawały się do spania znów ułożyłam się, a pies w moich nogach. Przykryłam siebie i psa kocem i spaliśmy aż do rana. Nastał dzień, deszcz mżył, zamieniając się w lód, szłam jak po szkle, ale najgorsze było to, że ten mój przygodny towarzysz zaczął atakować mijających nas ludzi. Nikt nie chciał wierzyć że to "nie moja sobaka", o czym nieśmiało informowałam napotkanych. Tak szliśmy prawie do wieczora. Z daleka zobaczyłam wioskę pnącą się pod górę, przechodziłam obok fury z sianem, gdy usłyszałam głos z fury:

- Eto sobaka ili suka ?

- Kanieczno sobaka - odpowiedziałam.

Podchodziliśmy już do wioski i z daleka usłyszałam ujadanie i zobaczyłam kilka psów pędzących w stronę mojego psa, jednak w miarę zbliżania się agresywność ich zaszęła zniknąć, prostowały łapy wygięły głowy i w lansadach podbiegały, już wiedziałam



że to "ona" - awięc suka. Ona jednak lekceważyła te zaloty ku  
mojemu zmartwieniu bo przecież dochodziłam już do stacji Piecza-  
nówkąd więc zaczęłam martwić się, jak ja się jej pozbędę. Otworzy-  
łam drzwi od poczekalni, a psina starała się wejść za mną. Chwyci-  
łam za kark i wypchnęłam na zewnątrz, ale ona uparcie stała  
pod drzwiami, uchyliłam je ponownie i pchnęłam ją butem. Uczyni-  
coś bardzo niegodziwego, wszak ona towarzyszyła mi prawie dwa  
dni, grzała moje mokre nogi okazała tyle przywiązania, ale czy  
miałam jakieś inne wyjście? Przekonałam się że <sup>też</sup> była ambitna,  
bo gdy znowu wyjrzałam już jej nie było. Teraz musiałam wykupić  
bilet powrotny, ustawiłam się w kolejkę do kasy. Okienko się  
otwarło, kasjerka krzyknęła: "Komadirowoczne". Jacyś uprzywilejo-  
wani podeszli do okienka - tym bilety wydała, okienko trzaśło,  
światło zdasło i rób co chcesz. Po poczekalni przesuwiał się jakiś  
starszy człowiek, który zamiatał, świecił i coś mi szeptał na  
ucho. Za okienkiem kasowym słychać było kasowanie biletów czyli  
kasjerka "musi żyć" ale jak się do niej dostać? Nie wpadłam  
nato, że może ten stary jest pośrednikiem, zaświtała mi inna <sup>myśl</sup>  
wyszłam na peron i obserwowałam jak odbywa się wsiadanie do  
pociągu, otóż na pomoście stoi konduktor i pomocnik. Tłum się  
pcha oni pytają o bilety a ludzie pokazują i wchodzi. Dlaczego  
ja bym nie mogła pokazać stary bilet i wejść do wagonu, a potem  
załatwić to z konduktorem, przecież on też "musi żyć". Pociąg  
ze Iwowa przychodził za dwie godziny, musiałam się pożywić a na-  
ewt rozgrzać. Obok poczekalni był bufet, Przy bufecie stała  
kolejka mężczyzn, szła szybko, podsunęłam się blisko aby usłyszeć  
jak się zamaiwa wódkę, i ja podeszłam i powiedziałam - "Adnu stopku"  
- wypikam, poczułam rozchodzące się ciepło atakże poprosiłam o  
ciasto złocistego koloru. Okazało się, że jest to placek jaglany.  
Wyszłam na peron czekając na pociąg, który za chwilę wjechał.  
Ludzie zaczęli wsiadać - i ja za nimi, wyciągnęłam stary bilet

pokazując go,, oszustwo chwyciło. Nagle zorientowałam się że nie mam mufki, a której miałam wszystkie dokumenty i pieniądze, wychyliłam się z mostku, a moja mufka leży obok wagonu. Wskoczyłam ponią, ale pociąg ruszył, a więc trzeba będzie jeszcze całą dobę czekać na taką okazję. Weszłam znowu do poczekalni, słychać było zajeżdżający pociąg, ale ten w kierunku Lwowa, drzwi się szeroko rozwarły wchodziła gromada ludzi, a w niej p. Brykczyńska, ale sama bez Marysi.

- Myślałam że spotkam ją tutaj, co się z nią stało? -zapytała mnie.

~~- Nie widziałam Marysi, ale jestem od paru godzin, jeśli~~

- Nie widziałam tutaj Marysi, ale jestem od paru godzin, jeśli przyjechała wcześniej to napewne rozminęłyśmy się - i zaczęłam swoją opowieść. Moim zdaniem jedyna droga to kolejowa. trzeba ewjść w porozumienie z kolejarzem, trzeba mu dać coś cennego i on jeśli uczciwy przemyci albo jeśli drań to weźmie łapówkę i wyda. Po namyśle postanowiłyśmy wracać do kołchozu i dopiero na następny rok o innej porze planować ucieczkę. Bilety uzyskaliśmy drogą nielegalną przez tego <sup>o</sup>strego, kręcącego się po stacji, do Nowosybirsk chybą przez Żytomierz, Berdyczów Kijów, Moskwę.

Jechaliśmy już bez komfortu, a ja nadal stałam się zaopatrzeniowcem, pozostając w dobrych stosunkach z konduktorem, który mnie informował gdzie i na jakiej stacji można coś kupić do jedzenia.

Tak przebrnęliśmy aż do Nowosybirsk, ale tutaj wpadliśmy w kłopoty, albowiem nie można było kupić <sup>biletu</sup> na południe to jest do Usztobie. Ustawianie się w kolejkę nie pomagało, znaleźć nielegalną drogę w tak olbrzymiej stacji było ryzykowne, tutajśmy się tak jak ten bezradny tłum ludzi poniewierający się a właściwie koczujący - na białych płatkach wykładanej podłodze olbrzymiej poczekalni dworcowej.

Przewalał się tłum biedaków - w kufajkach jak myśmy oreślałi



"koronkowych" gdyż zwisała z nich wata jak koronka. Wśród tego tłumu spotykało się całe rodziny szeroko rozłożone - prezentujące swoje mienie jak: koryto blaszanej odpowiednik naszej balii do prania/, gitara, bo to naród pieśniarzy, troszkę łausków we worku i dziecięta. Matki przeszukują włoski swoim dzieciom, aż do chwili gdy zjawia się poczet sprzątaczek, które idąc tyralierą ze szczotkami ubranymi w mokrą ścierkę, burzą te prowizoryczne ogniska domowe - zamiatając posadzkę. Trzeba przyznać, że naprawdę czyniły to sprawnie - a rodziny znowu zajmowały inne terytorium, cierpliwie czekając na otwarcie kasy dla plebsu. Właściwie jest to wędrówka narodu, z północy na południe - chyba ucieczką przed groźną zimą. Postanowiłyśmy zwiedzić bufet kolejowy, który zajmował uprzywilejowane miejsce na piętrze. Po prawej stronie była garderoba i napis że na salę konsumpcyjną w okryciu wierzchnim wstęp wzbroniony. Właśnie trafiłyśmy na zabawną scenę, kiedy to szatniarz usiłował zmusić jakiegoś Uzbeka do zdjęcia jego ~~jakiegoś~~ ~~okracia~~ ~~jedwabnego~~ ~~ale~~ ~~nieco~~ ~~podniszczonego~~. Ten ropaczliwie się bronił, bo zapewne miał pod nim tylko bieliznę, w końcu chyba nie wpuszczono go do bufetu,. Żal mi było tej egzotycznej postaci i zastanawiała mnie jego obecność w tej mroźnej krainie, niedługo potem ta zagadka się wyjaśniła. Na razie weszłyśmy do olbrzymiej sali, a rozstawione stoliki nakryte białymi obrusami zapraszały do posiłku. Wielką ozdobę tej sali stanowiły lustra umieszczone między oknami, sięgające od podłogi do sufitu, za; oprawa ich była utrzymana w stylu rokoko, Niestety ta ta piękna sala kończyła się bufetem pomalowanym na granatowo i szarawo ozdobionego jakimiś płaslorzeźbami zawiłymi w rysunku. Jako osobliwa ozdoba bufetu kręliwała za nim bufetowa chyba wagi ok. 100 kg. Podeszła ona niebawem do stolika, który zajmowało dwóch lótników i na ich stoliku zaczęły się pojawiać różne dobre rzeczy - w końcu i pomarance.

Serce mi się krajało, gdy tak patrzyłam jak oni zabrali się do konsumpcji czegoś tak dawno przez nas nie widzianego i ~~pożądane~~go. Pokrajali te pomarańcze nożem na plastry, okazały się one malinówkami i tak je pozostawili na talerzu.

Opuściłyśmy bufet po wypiciu herbaty z ciastkiem, a starszy inteligentnie wyglądający pan szatniarz z najmiłszym uśmiechem podawał nam fatra, ciągle tytułując nas słowem "madam/.

Zeszłyśmy na dół i wtedy zauważyłyśmy już dużą kolejkę przed jedną z kas złożoną właśnie z tych, którzy koczują od dawna, ~~związka~~ więc dla tych biedaków.

Stabęłam więc i ja - wykupiłam dwa bilety i popędzana słowami kasjerki "skorej - pojezd odchodzi" pognałam na peron, a za mną p. Maria. Jeszcze bobiegłyśmy, ale to była ostatnia chwila. Pociąg był towarowy, nieogrzewany i wypełniony po brzegi, pasażerowie podali nam ręce i wciągnęli nas do środka. Znalazłyśmy się między samymi mężczyznami - jak się okazało amnestiowanymi więźniami. Pomyślałam sobie że ich wypuszczają aby dla Polaków było miejsce, a ten biedny Uzbek też zapewne ich Towarzysz. Ci pasażerowie rozsiedli się na tej zabłoconej podłodze przeważnie po turecku. Były tam półki i na nich też się roziło od mężczyzn. Jeden z tych, który koczował pod półką skinął na mnie pokazując obok siebie miejsce, skorzystałam, ale też zaraz zoś stałam dokumenznie owszona, bo niestety najgorsze plugawstwo zawsze mnie osacza. Wsiadłyśmy w Usztobie, zaś dalszą drogę odbyłyśmy autobusem do Gleorgiewki, a żegnając się z p. Marią prosiłam o to by w rozmowach z rodakami lub w wypadku nie daj Boże przesłuchaniu w N.K.W.D. mówiła, że spotkałyśmy się dopiero w Semipałatynsku i nixnie nie wie o moich poczynaniach.

Powitano mnie radośnie, ale od progu zaznaczyłam, że muszę przejść



jeszcze przed " wejściem na komnaty" - "sanobrobotkę", bo jestem dokumentnie owszona. W sionce ściągnęłam wszystko ze siebie, Kochana Janka Kolasowa nagrzała wodę i po gruntownym myciu i przebraniu się w <sup>4</sup>czystą bieliznę, co się dało prasowałam, zwłaszcza szwy odzieży, a resztę wyrzuciłam do sieni na mróz, aby się oczyścić z tego robactwa. Potem opowiadałam bez końca moje przygody, lecz sprawa Marysi Bajerowej pozostawała zagadką, ale niebawem i to się wyjaśniło. Nadszedł gryps od niej który coć niecoś naświetlił. Marysia wsiadła do pociągu jadącego w kierunku Piezzanówki pozostawiając p. Marię, nie mogącą się dopchać, gdy znalazła się w Piezzanówce poszukała jakiegoś locum, aby się umyć, wypić kawę i przez spać się, ale niebawem zjawilo się N.K.W.D. no i jest podzięk ich opieką.

Oczywiście Cieorgiewka była pełna śniegu, burany przynoszą obfite opady, wtedy to mróz o temperaturze minus 25<sup>o</sup>C, ustępuje, i ociepla się do minus 5<sup>o</sup>C. Taka burzę śniegową przeżyliśmy wraz z gościem z Berłyka - Jankiem K., który odwiedzał nas od czasu do czasu, gdyż załatwialiśmy mu różne zakupy w sklepie jak również pożyczaliśmy dla niego książki. Gość zjawił się u nas w prochowcu, co nas ogromnie zdziwiło, bo wiedzieliśmy że ma on piękny flauszowy bronzowy płaszcz. Na nasze pytanie dlaczego jest tak ubrany, odpowiedział, że musiał zamienić swój płaszcz na opał na całą zimę. Gdy rozebrał się z owego prochowca był pod nim owinięty od pach po pas powrozem i twierdził, że to mu daje ciepło. Zasiadliśmy do herbaty, potem do brydza, gdy niespodzianie nadciągnęła burza śnieżna. Nasz gość musiał więc u nas przenocować, z bielizną ~~szkła~~ chyba też było u niego niewesoło, bo trzy noce /zanieć nie ustępowała/ przenociwał w ubraniu. Śnieg zasypał naszą chatę tak, że jedynie sterczał komin, a okienka trzeba było odpopać. Zresztą zawsze w zimie stała w sionce łopata u drzwi otwierających się do wewnątrz. aby

można było odkopać przejście - przede wszystkim do studni z Buran spowodował to że wiesz nasza przedstawiała osobliwy obraz: śnieg pokrył ją falami, tak że niektóre chaty i droga były pokryte do wysokości chyba 6- ciu metrów . Z dachu schodziło się do drzwi wykopanymi w śniegu schodkami, ~~aniśxbyłxendawniśxkikixxxx~~ a niebo było silnie błękitne. Stanowiło to scenerię jak z cudownej bajki, studnia znajdowała się w prześlicznej grocie u góry zabezpieczona gałęziami <sup>które</sup> przysączyło się nastrojowe światło, ~~akkołchoznicy~~ przekopywali drogę usawając śnieg, który wywozili na pola, aby wiosną ziemia nasyciła się wodą, - na całe skwarne bezdeszczowe lato.

Nadeszła niedziela zwana "Woskresienie" / Zmartwych-wstanie/ droga była już jako tako przetarta, wieś zaludniła się. Zarachoczki na ławach sprzedawały "ajran" /skwaszone, kożyle mléko/, ale w kawałkach bo zmarrznęte, oraz miniaturowe serki wygniatane rękami - "uriuk". Najwięcej jednak zdziwiło mnie gdy ujrzałam na śniegu wielbłąda ciągnącego niziutkie sanie, zabezpieczone po bokach dodatkowymi płozami, wyłożone złocistą słomą. Powoził młodziutki Kazach, w pięknej aksamitnej szafirowej czapce podbitej rudym lisem, ubrany w długi, sięgający kostek korzaeh. W pewnej chwili machnął kbatem, wielbłąd poderwał do biegu sanki, które gwałtownie skręciły i właśnie te boczne płozy zabezpieczyły sanie przed wywróceniem się - i pomknął w step.

~~ZbliżxsięxświętxBałaxxNarodzenixxxJankaxkonixsznixkix~~

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, Janka koniecznie chciała mieć na święta parzoną struclę, certoliłam się z tym, tylko z obawy, że bez przepisu może mi się nie udać. Ale udała się, a w pierwszy dzień świąt spotkałyśmy się na modlitwie w jednej z chat na którą też przyszły kobiety ruskie, śpiewałyśmy kolędy, ale wszędzie panował smutek, aja ciągle oczekiwałam najgorszego



i tak pewnego dnia doszła mnie wiadomość że p. Brykczyńska aresztowana - no to teraz kolej na mnie.

W niedzielę a było to już po Nowym Roku odwiedził nas Janek z Berłyka i znów musiałam opowiadać moje dziwne przeżycia spostrzeżenia oraz cały przebieg - nieudanej eskapady i choć mi Janek mnie obiecywał, że matka moja będzie o wszystkim ~~wiadziła~~ uwiadomiona, on przekazał wszystko swojemu przyjacielowi M.W. we Iwowie i w ten przekazał to Mamiw.

~~Następnego dnia~~ Następnego dnia rano zostałam aresztowana przez N.K.W.D.. <sup>o</sup>Njbardziej przykry moment był ten, gdy zamknięto za mną drzwi celi na kłódkę, ale znalazłam się w towarzystwie p. Marii Brykczyńskiej i p. Czerwińskiej z córką. Niebawem zostałam wezwana na śledztwo, które prowadził Karawajew, zawsze wybierał godzinę w których podawano obiad, zapytał mnie ~~czy~~ czy razem z Brykczyńską odbyłyśmy podróż aż na Ukrainę? Zaprzeczyłam, bo tak umówiliśmy się, na to on przeczytał mi zeznania jej to potwierdzające. Trudno już było się wypierać, rozmowa nasza była przeplatana różny mi złośliwościami na temat "że mąż rabał a żona z bału na bał pod ruczku limuzyną jeździła, a my ją gdzieś przewieźli, sztabo łopataj rabała" albo "waszy lotczyki w białych pierczatkach - zaszczyszczali rodinu". Nie wiem właściwie ~~co~~ co chciał przez to uzyskać, ale rozweselały mnie te jego złośliwości. Wkońcu jednak oświadczył mi, że wolno mi było poruszać się tylko w zaemońskim rejonie co jest zaznaczone w paszporcie, Jeśli naruszyłam tą ustawę należy mi się 10 lat więzienia, pomyślałam sobie - teraz ty usłyszysz tyle ile ja tą nieudolną rusczyznę potrafię ci powiedzieć. Pewnego dnia zaczęłam nieopatrznie odpowiedź od słowa "tawariszcz" z oburzeniem krzyknąć:

- Tawariszcz dla was wołk e lesu.

Odpowiedziałam: ~~nie~~:

- Eto prawilno, ajak ja mam mówić?

- Ja dla was grażdanin.

Pewnego dnia usłyszałam że mnie "połagajet sia tolko pula w żop potomu czto wy na Ukrainie wstretyli tajnu oechynizacju, ani poruczyli wam zadaczu i wy z tym pryjechali". Zaczęłam się śmiać, oświadczyłam że robi ze mnie bohaterkę ; może i chciałabym nią być ale niestety.

--A kto wam o tym mówił?

- A Helena M.

odpowiedziałam:

- Do głazow ja jej ne znaju.

Ale obleciał mnie strach, wszak to koronny świadek przeciw p. Brykczyńskiej. Była jej kuzynką i została przez panią Marię ściągnięta wraz ze swoją matką do Gieorgiewki, gdyż zesłano je na jeszcze gorszy kołchoz. P. Maria użyczyła im swego mieszkania przed tą zamierzoną ucieczką, pozostawiła to czego nie mogła ze sobą zabrać, a teraz dowiaduję się że Karawajew chce użyć przeciw mnie. Nastąpiła konfrontacja i zaprzeczyła jakoby mnie kiedykolwiek widziała. Ale śledczy nie chciał tak łatwo rezygnować z dołożenia mi paragrafu do paragrafu 32/ucieczka/ który przewidywał karę pozbawienia wolności do lat trzech. usiłował jeszcze coś skonstruować z paragrafu 58 bardzo bogatego wróżne punkty, a wszystkie one dotyczyły głównego oskarżenia " o agitację antysowiecką" Z Heleną M. nie wyszło, i gdy tak wracałam z przesłuchania musiałam przechodzić przez izbę przyjęć, gdzie zwykle oczekiwali na wezwanie do śledztwa świadkowie, pod opieką milicjanta. Przechodząc tak prowadzona też przez milicjanta do celi, na drodze spotkałam kobietę z którą jeszcze latem precowałam na polu. Przechodząc uśmiechnęłam się do niej i uścisnęłam jej rękę, a dopiero potem uświadomiłam sobie, że to zapewne świadek przeciw mnie.



Gdy wracałam ze śledztwa zawsze czekała na mnie zaimna "balanda" czyli zupa więzienna i wymienialiśmy z p. Marią poglądy nasze na temat śledztwa, twierdziła ona bowiem że Karawajew jest ~~inteligentny~~ inteligentny, widać to według niej z toku zadawanych pytań. Ja doszłam do innej konkluzji, poprostu śledczy ma formularz z zapytaniami i wypełnia go zadając zawarte tam pytania. Na przykład myślał że rozłości mnie wytykając mi pochodzenie burżuazyjne. Zapytałam w czym to się przejawia?

- A choćby to wasze futro .

Zapytałam z uśmiechem:

- Czy wasza żona burżujka, skoro widziałam na niej futro i to całe popielicowe, podczas gdy mnie jak powiadacie "burżujkę " było stać tylko na popielicowy kołnierz do futra ze źrebaków? Kiedyś zaczął deklamację o sowieckiej równości: "A poczomu u tewo milicjanta kotoryj nachodził sia na dyżurce, niet na połukawioru i takowo piśmiennego stała kak u was" <sup>nie</sup> potrafił mi tego wytłumaczyć. Kiedyś zaczął sobie pokpiwać z religii, powiedziałałam że wychowałam się w Polsce, wśród różnych religii, były kościoły obrządku łacińskiego, greckokatolickiego, ormiańskiego, prawosławnego, były synagogi, ale naród kulturalny szanuje wszystkie religie.

W naszej celi zaszły pewne zmiany bowiem przybyła ruska baba. Było to jakieś dzikie stworzenie, w jednej spódniczanie i kufajce, patrzyło spode łba i przeklinało nas sypiąc wyzwiska zresztą podobne do naszych. Na szczęście nie zbliżała się do nas, bo napewno była owszona, przyżuliła się do ściany korytarzowej, którą stanowiła zarazem ścianę pieca, rozpalanego od korytarza i ogrzewającego dwie cele równocześnie. Gdy szłam na "wopros" p. Czerwińska prosiła mnie abym pogadała ze śledczym o tym by ją usunęli z tej celi.

zdaje się, że śledztwo w mojej sprawie ~~nie~~ dobiegało końca. Ciężko czekałam kiedy Berdyczów nadeśle nasze zeznania, dołożyli-by wtedy mi jeszcze za fałszywe zeznania, ale śledczy wysunął niwą i za skakującą propozycję, że tylko ode mnie zależy abym poszła na "Wolu" ale pod warunkiem, że będę od czasu do czasu donosiła co Polacy robią, mówią i td. Zapytałam czy myślicie, że ktoś spomiędzy nich by podałby mi rękę?

- Da, daj ja penimaju, my was ustroim na rabotu, niet zdiesz, w. bolszym gorodzie w Siemapałatynskie.

- U was eta swoboda, eto kak ZOOparkie, tolko z bolszym wybiegom, łutsze dla minia tiurma.

Na koncu poprosiłam w imieniu całej celi o przeniesienie tej babki do innej celi, Karawajew bardzo się ucieszył i wydał zarządzenie aby mnie przenieść razem z nią do drugiej celi. Ogarnęło mnie przerażenie i strach, bowiem ona będzie sądzona za zabójstwo własnego dziecka, a Karawajew musiał się na mnie odbić i znalazł drogę. Pożegnałam się z p. Marią, która na odchodne wepchnęła mi jedną ze swoich poduszek bo przecież spałyśmy na bitej ziemi. Weszłam do celi obok, okienko z wybitą szybą, ściany brudne, pełne napisów, dobrze że nie umię czytać, ale przecież 25<sup>o</sup> mrozu. Umieściłam się pod oknem, byle dalej od tej zbrodniarki, ona zaś znowu przytuliła się do ogrzanej ściany, przysiadła i patrzy na mnie jak jakieś złe zwierzątko. Do snu ułożyłam się w walonkach, futrze i futrzanej czapce ale śpię na poduszce. Dyżurnemu pokazałam wybite okno i postanowiłam odstawić im numer, śpięć jak mysz pod młotem w takim towarzystwie. Rano leżałam wcale się nie ruszając, gdy dyżurna wszedł z chlebem i wrzątkiem nie poruszyłam się, coś do mnie przemówił ja dalej się nie ruszałam, to go wreszcie przestraszyło,



rzucił się na kolana i zaczął mnie tarusić, bał się że zamaział. Wreszcie zostałam poprowadzona na ostateczne przesłuchanie. Weszłam bez słowa siadłam jak zwykle w znacznym oddaleniu od śledczego, był zadowolony, bogałonoćny strach, który przeżyłam zapewne odbił się na mojej twarzy. Zwykle wchodząc mówiłam tamtejszym zwyczajem: "Zdrastwójtie", tym razem nie. Rozsiadłam się tak jak spałam -- on podniósł się i uklonił, zapytał jak mi się spało, na ~~to~~ ja spytałam czy jako gospodarz widział tą celę, gdzie pakuje się więźnia przy 25<sup>o</sup> mrozu, przy wybitym oknie i czy widział ten brud na ścianach, który może tylko spowodować jakąś zarazę? W czasie tej rozmowy zaczął się zbliżać do mnie i linilką wręcał. Pomyślałam sobie jaśli mnie tkniesz tylko, jeśli mnie uderzysz -- to ci oddam, choćbyś mnie miał zastrzelić. Po chwili zaczął się cofać, a gdy miałam odchodzić pokazał mi moją obrączkę ślubną i fotografię synka i zarazem mają, na ten temat pozwolił sobie na ~~na~~ uwagę: "wot mat', a mozet matieri boża" zapewne jeszcze nie tracił nadziei, że wybuchnę i przyłożę mi 58-my paragraf. Spojrzałam na niego z pogardą a on potrząsając obrączką zawieszoną na nitce mówił:

- Sowieckiemu Sojuzowi nużne zołoto.

Zawołałam :

- A to wstyd abyście przy tylu kopalniach złota, jeszcze tą odrobinę złota zabierali.

Postanowił jednak obejrzeć swoje kazamaty i towarzyszył mi do celi, gdy obejrzał -- nic nie powiedział, tylko zarządził powrót mój i tej kobiety do dawnej celi, awięc nic się nie zmieniło, tylko niestety w czasie mojego przesłuchania zginęło mi z plecaka prawie pół kilograma cukru w kostkach, które nadesłano mi na święta ze Lwowa.

A był to koniec stycznia roku 1941

#### IV. Semipałatynska tiumna

Taki jest tok procedury karnej w tym państwie "broniącym uciśnionych" że po śledztwie przkazuje się więźnia do wojewódzkiego więzienia, aż do chwili rozprawy - bowiem rozprawa znowu się odbędzie w Cieorgiewce, miejscu przestępstwa, gdzie nas na oznaczony termin dostawię. Narazie wyjeżdżamy do Usztobie. Do naszego auta podeszła pani Żdłewska a pani Brykczyńska podaje jej pas w którym ma zaszyte rodzinne klejnoty. Wymieniała brylantową spinkę do rajera przy czapie futrzanej, zakładanej do kontusza i wiele innych, ale już nie pamiętam bo to wszystko było zaszyte. Jedziemy pod opieką dwóch milicjantów. W poczekalni stacyjnej w Usztobie tłum pasażerów czyniący nam skwapliwie miejsce do siedzenia, Widać w spojrzeniach ludzi współczucie, milicjanci nas pilnują, ale zachodzi moment kiedy oddalili się na chwilę, to wykorzystuje jakaś młoda kobieta przysuwa się do mnie i pyta:

- Prodtwienniki znajut czto wy zakluczonyje?
- Niet.
- To piszytie.
- Bumagi niet - podszwa mi różową bibułę i ołóewk.
- Piszycie skorej poka ich niet.

I wysłała ten przedziwny list złożony w trójkąt, pisany na bibule, opłaciła go. Ile tam dobra tkwi w tych ludziach, których ciągle wychowują w nienawiści, podejrzliwości, nakazując im szukać ciągle i wszędzie wroga klasowego.

Pociąg zajechał, weszliśmy pod opieką do wagonu i coupée' natychmiast opróżniono dla nas miejsca i tak dojechaliśmy do Semipałatynska. Dalej odstawiono nas ciężarówką do więzienia przy ul. Dostojewskiego, a "strojła jewo Jekaterina Wtoraja".



Oddano nas pod opiekę straży więziennej po wprowadzeniu nas w boczny kurytarz, zabezpieczony ruchomymi zakratowanymi drzwiami, tak że przechodzący strażnicy głównym kurytarzem mogli przyglądać się rewizjom, które były przeprowadzane przez strażniczki na kobietach, a te musiały rozbierać się do naga. Rozrzucano im włosy zaględano do ust - przeszliśmy i to, w końcu zaprowadzono nas do celi nr. 14. Weszłam w znajome towarzystwo niezbyt zachwycona, ale cóż robić, siła wyższa. Cella wąska i krótka z jednym u góry oknem zakratowanym i tak zwanym "namordnikiem", Było nas chyba czternaście. Wszystkie siedziały na drewnianej podłodze boso pod ścianami, ale jeszcze tam się mieścił mały stół, beczka na "czaj" i "parasze". Nadszedł obiad, podane coś szarego, płynnego. Dyżurna bo tak nazywano jedną z więźnierek, podsuwała miskę stojącemu we drzwiach mężczyźnie i ten nabierając czerpakiem zupę z olbrzymiego garnka wlewał do podawanych misek, które ona ustawiała na stole. Wówczas dowiedziałam się, że w języku więziennym ten co podaje zupę nazywa się "bałandzior" natomiast zupa "bałanda". Dyżurny ~~xxxx~~ ~~knęxdrzi~~, strażnik zamknął drzwi, dyżurna podaje miski, lecz ja nie mogę się przekonać do tej strawy. Odsuwam miskę z odrzydzeniem i słyszę to co mi się należało, otóż jedna z pań mówi że ona w więzieniu przebywa już od dwóch miesięcy, pragnie przetrwać tę martyrologię i uważa moje postępowanie za niewłaściwe. Przeprosiłam mając nauczkę na przyszłość. Z kolei dowiaduję się że każda cella ma starostę, Ta wyznacza przybyłym miejsca, wyznacza dyżurne do obowiązku których należy myć podłogę, przyjmować posiłki, wnosić "paraszę". Starosta zgłasza "otwiew dyżurnemu" na przykład że któraś z towarzyszek jest chora, lub rozpoczyna głodówkę protestacyjną i żąda papieru, aby zgłosić i uzasadnić swój protest. Ze znajomych które spotykałam w tej celi to Janka Błaszowska i Fiemowa / imienia nie pamiętam/, pamiętam jedynie to że w Georgience nie układały się nam stosunki, Teraz wypytują mnie co się ze mną działo, bo myślały

że ja doszłam do Lwowa. To nie było tak łatwo i opowiadałam im swoje przygody. Są już po wyroku, dostały 3 lata za ucieczkę /~~paragraf~~ / paragraf 32 /, awyszły tylko przed dom z walizkami i już ich przechwycili. Takich osób jest więcej, p. Brudzieńska, która wprawdzie nie mieszkała w Georgiewce ale była moją sąsiadką lwowską, mieszkała przy ul. Długosza. Okna mojego rodzinnego domu wychodziły na ul. Długosza, nie tylko to nas zbliżyło, ale jej urok osobisty, uroda i niespotykana dobroć, którą ogarniała nie tylko Polki ale też ruskie kobiety. Ona też pragnęła opuścić ten kraj - w kx którym tak "lokko dyszyt czołowiek" ale robiła to razem z dziećmi. Gdy ich przechwycono - dzieci zwłaszcza chłopak, który miał chyba 14 lat, prosił by tylko jego ukarano, gdyż właśnie on namówił matkę do ucieczki. Dzieci poszły do sierocińca, dziewczynka miała około 16-tu lat i nawet usiłowała pracować ~~by~~ by pomagać matce przetrwać tą katoegę. Jednak ta pomoc okazała się problematyczna, gdyż matka przeważnie przekazywała to co otrzymała od dzieci, ciężarnym Rosjankom. Pamiętam jej słowa gdyśmy odbywając spacer wkładały na bosa n nogi coś zobuwia:

- Słuchajcie czy ja jestem już na dnie nędzy czy jeszcze nie? Genezą tego zapytania była jej przedwojenna przygoda z Cyganką którą za podany talerz zupy uparła się powróżyć. Czekając ją miała daleka droga bez męża ale z dziećmi, a gdy znajdzie się na dnie nędzy przyjdzie wyzwolenie. Ona rzeczywiście prędzej się wydostała z tego dna nędzy, bo po amnestji dla Polaków ogłoszonej 14 sierpnia 1941 roku udało się jej z dziećmi przedostać do Iranu. Jej dzielny syn jako ochotnik walczył pod gen. Maczkiem we Francji i tam poległ. Ona przebywała w Londynie z córką, córka wyszła tam za mąż, a ona wróciła do kraju bo dowiedziała się że mąż jej poważnie zachorował. Tę miłą i pogodną p. Jadwigę odwiedziłam po powrocie z Sybiru - w Krakowie. Niestety więcej jej nie widziałam, bardzo



tego żałuję. Przepraszam za tą dygresję w wspomnieniach więziennych, ale już wracam do tamtych czasów. Tak poznawałam różne osoby miłe albo i nie, ale każda wносиła coś ze swoich przeżyć śledczych, bo od tego zazwyczaj się zaczynało, zwłaszcza że ciągle przerzuca-  
nonas z celi do celi. Pierwsze patanie skierowane do nowoprzyby-  
łych zawsze brzmiało: z jakiego paragrafu i za co? Pani kliszczowa,  
żona notariusza ze Iwowa, oświadczyła że skazano ją z paragrafu  
58 /agitacja antysowiecka/ na lat 5, bo sprzedając babie ruskiej k  
kalesony - gdy ta nosem kręciła powiedziała jej że głupia i wcale  
nie rozumie że to są kalesony angielskie i zakończyły:

- Siedzę więc za Anglię i ona musi mnie wyzwolić.

Dosyć zabawne były te oskarżenia i wyroki, humorystycznie zresztą  
przez nas traktowane, może chodziło o zastraszania Polaków. Również  
i 200 rubelków od główki wpadających do kieszeni śledczego nie były  
do pogardzenia. Wreszcie i nas wezwano do Gieorgiewki na rozprawę.  
Odbывała się ona w sali jakiegoś "klubu". Na scenia zasiadł zespół  
składający się z trzech osób. Myśmy dostały również do ręki akt  
oskarżenia. Przewodniczący go odczytywał ale tak opornie mu to  
szło, że moja towarzyszką p. Brykczynska pomagała mu. Gdy skończył  
"dukanie" zabrył głos prokurator. Zapamiętałam sobie z jego prze-  
mówienia tyle:

- Smatritie na ety lica, na ety figury nagłość bijot ad nich.  
Przedtem było przesłuchanie świadków, oczywiście wszystko to odby-  
wało się przy drzwiach zamkniętych, albowiem Polacy nie powinni  
wiedzieć że pani M. i jej matka obciążają p. Brykczynską, zresztą  
swoją kuzynkę a nawet dobrodziejkę. gdyż na ich rozpaszliwe listy,  
które słały z z miejsca zesłania, zaproponowała im przyjazd do  
Gieorgiewki a udając się w tą niefortunną podróż oddała im swoje  
mieszkanie tam już zagospodarowane. Niestety zaznawały w tych sło-  
wach żeś " " Brykczynska wieła propagandu antysowiecku w domu, na  
ulicy i w restauracii", ale jak to wyrażała tego nie powiedziały.  
Natomiast drugi świadek - gospodyni domu zeznała, że gdy się użala-  
ła przed nią na to że trudną o to czy tamto, Brykczynska jej mówi-  
ła nacie swoich deputatów niech oni dbają o to co się wam należy.

Te zeznania jedynie były prawdziwe. Brykczyńska to głośno potwierdziła, natomiast do swoich kuzynek pan M. zwróciła się po francusku i co mi na moją prośbę przetłumaczyła: "Moje panie jeszcze się spotkamy, jeśli nie na tym świecie to na drugim."

Na skutek tych zeznań p. Brykczyńska / za ucieczkę / z § 32 i § 58 wymierzono jej łączną karę 10 lat pozbawienia wolności, mnie natomiast skazanej z § 32 - karę 3 lat ~~przeznaczenia~~ więzienia. Zresztą ta cała rozprawa to była farsa. Jak można odpowiadać za ucieczkę, kiedy się przyjechało na miejsce zesłania z powrotem, toteż w czasie rozprawy uśmiechałyśmy się. Najbardziej rozweseliła nas przewodniczący który nie potrafił przeczytać aktu oskarżenia, toteż prokurator w oskarżeniu mówił, że bezczelność od nas bije - "Nagłość Bijot".. Po rozprawie miałam spotkanie z kochaną Janką kolasową, które będąc w kontakcie z moją Matką, przekazała mi garść wiadomości od niej i kilka wspaniałych konserw.

Znowu znalazłyśmy się w tym samym więzieniu w Semipałatynsku i zapewne w tym więzieniu / jak mówiono / odsiadywał karę sam Dostojewski. Podobno budowała go Katarzyna II, mury grube, korytarze wąskie wyłożone olbrzymimi ciosanymi kamieniami, Była kiedyś i kaplica a zykrystię zamieniono na ustępy / całkiem w ich stylu/. Cele były raczej czyste, siedziałyśmy boso na drewnianej podłodze na miejscu wyznaczonym przez starostę celi pod ścianą. Wolno nam było zajmować tylko tyle miejsca ile wyznaczały szeroko rozłożone dłonie, <sup>w</sup>die dłonie starosty. Każda z nas miała swoje <sup>9</sup>vis-à-vis między naszymi stopami biegł pas podłogi, codziennie myty przez dyżurną, szorowany szkle / pochodzącym ze znalezionej na spacerze zbitej szyby - przemywanej potem do celi/, był to bowiem nasz stół, na którym dyżurna stawiała miski z jedzeniem zwanym "bałandą", była to zupa z jakimiś krupami a w niej pływały czasem kostki ziemniaków, a czasem kręgosłup ryby lub oko tejże.



Nigdy nie spotkałyśmy kawałka mięsa. Taki był obiad, na wieczór czasem podawano nam śledzie ale tak słone, że najczęściej ich nie jadłyśmy. Wogóle jedzenie było chyby saletrowane, początkowo wogóle nie mogłam jeść, ale potem mmsiałam. Ktoś mi powiedział, że w więzieniach dodają saletrę do potraw bo to rzekomo uspokaja instynkt seksualny. Czasem podawano nam sałatkę z ogórków kiszonych tak zwany "winigred" na co rzucałyśmy się łakomie, gdyż to jedynie urozmaicało ten okropny jadłospis.

Pamiętam że pewnego dnia zbudziłam się oczywiście z nogami pod pachą mojego vis-à-vis /bo spałmy jak sardynki/ ale radośnie przebudzona i natychmiast podzieliłam się z moimi towarzyszkami tym snem. Byłam dziś we Iwowie, widziałam ul. Gródecką w tym miejscu gdzie łączy się u Kaźmierzowską, z lewej strony widziałam cerkiew Jura, - w górze a przy chodniku stały czołgi ze swastyką, zapewne miłość między nimi wreszcie się skończy. Był to 2 luty 1941 roku, a w czerwcu tegoż roku zaczęła się wojna Niemców z Sowieciami. Nadszedł Wielki tydzień, a z nim Wielki Piątek. Pani Brykczyńska wtedy pełniła funkcję atrosty, podawano śniadanie, to znaczy "pajok chleba" i "fruktowyj czaj". Ale co to? - dają w porcjach kiełbasę, zwraca się do nas starosta z zapytaniem, czy któraś z nas zje dzisiaj kiełbasę, bo to Wielki Piątek. Oczywiście wszystkie odmówiły, chyba za dzwiami już stał "wracz" więzienny, bo stało się to prawie natychmiast po naszej odmowie.

- Cóż takoj, bunt kameri?

- Nie odpowiedziała p. Brykczyńska - jesteśmy wszystkie wierzące i w dzień śmierci Chrystusa zachowujemy post.

Lekarz więzienny wrzeszczał, groził karcerem, pewno ten numer dawno sobie przygotowali, ale nie udał się im.

W wędrownce więziennej spotkałam też p. Irenę Bajkowską. Należała ona właśnie do tych ofiar stalinizmu, które naraziły się wyeęczając kogoś w podawaniu paczki do więzienia, Jak już wspominałam

poprzednio, osoby te stawały się elementem niebezpiecznym i kwalifikowały się do wywozu. P. Bajkowska trafiła też do więzienia z § 32, przeszła szereg więzień, w tym bardzo komfortowe polskie w Ostrorogu. Poznała następnie tak zwane "sobaczki" w Kijowie, <sup>gdzie</sup> ~~gdzie~~ wpychano więźnia przed przyjęciem do celi, nie można tam było ani leżeć bo były za krótkie, ani siedzieć, bo były zaniskie. Znowu w Świerdłosku na więzieniu odczytała napis /znała cyrylicę/ "Kto śdzieś był nie był - bódziet, a kto budziet - nie zabudziet". We Dwowie był<sup>a</sup> korektorką księżnicy Ossolineum, była bardzo ciekawą osobą i szczerze się cieszyłam jeśli w wędrówce więziennej spotykałam ją, bo czas się dłużył okropnie - bez jakiegokolwiek zajęcia, a przy rewizjach odbierano nam wszystko co ułatwiło by nam życie w tym haniebnym położeniu. Jednak już przy drugiej z rzędu rewizji udało mi się przemyścić parę igieł, wpychając je w szwy spodni i domowych pantofli, a wypruwając nitki z różnych tkanin, ręczników nauczyłam się od współwięźniarek robić piękne mereżki, udało mi się też "czekanką" /był to ułamany kawałek miski w której jadałyśmy ps-  
siłki/ wymodelować ze znalezionej patyczka szydełko. Pruło się coś z wełny i powstawały całkiem ładne dzianiny, a przy takiej pracy takiej pracy zapominałam choć na chwilę, gdzie się znajduję. Nadszedł dzień kiedy to wepchano nas po zastrzykach do małej celi, a gdy zapytałyśmy dlaczego to czynią, bo "to karantinna kamera", potem jednak mnie wycofano, lecz za drugim razem wyjazd doszedł do skutku. Rosjanki szalały z radości jakby szły na wolność. Gdy przywieziono nas na dworzec stał już tak zwany "zakwagony" zwany też "małpiarkami" - bo więźniowie jechali za kratami jak dzikie zwierzęta. Załadowanie odbyło się w ten sposób, że każdy więzień kuczał i siedział tak aż do chwili gdy był wywołany, idąc do wagonu podawał imię "oczestwo i srok" na ile lat skazany. Wewnątrz N.K.W.D. Dysta wciskał nas do przedziału bez okien, z półkami i małym wentylatorem w górze.



Od kurytarzącała ścianka i zasuwane drzwi były zakratowane,, w przdziele brakowało powietrza, ale pocąc się przespałyśmy całą drogę aż wreszcie dojechałyśmy do Czimkentu. Tu po wyjściu z wagonu kazano nam się ustawić czwórkami, naprzód mężczyźni potem kobiety, otoczył nas N.K.W. Dyści z rewolwerami w ręku i i z psami zapowiadając: " p dupleżdżajem szag w lewo szag e prawostrelajem". Tak maszerowałyśmy do następnego więzienia a nad Czimkentem woddali zobaczyłam potężne góry, jakieś granatowe szczyty pokryte śniegiem, od nich szedł ożywczy powiew.

Tak znalazłam się w obozie rozdzielczym. Umieszczono nas w dużej celi mieszczącej 54 więźniarki, o dwu oknach pod sufitem, Starosta celi wyznaczyła mi miejsce w środkowym rzędzie. Rzędów tych było cztery, pod lewą ścianą i prawą, zaś środkiem biegły dwa rzędy stające się głowami. Oczywiście w czasie snu moje nogi trafiały pod pachę śpiącej pod ścianą, ale było to zupełnie normalne i zgodne z tradycją i ściskiem panującym we wszystkich więzieniach sowieckich. Sala była czysta i nawet w miarę jasna, Podano nam obiad znacznie obfitszy niż w semipałajynsku. Powoli zaczęłam rozglądać się po celi i zawierać znajomości. Pierwszą osobą, która zwróciła na siebie uwagę była p. Tiger-rajer z Sambora, gdzieś mąż jej miał fabrykę wódek, jego aresztowali a ją z córkami zesłali. Pani ta była bardzo towarzyska, będąc na kołchozie zapraszała do siebie na herbatkę kogoś z ruskiej inteligencji i w rozmowie powiedziała że będąc w Anglii / a tak się właśnie złożyło, że wów-czas odbywał się pogrzeb króla Jerzego VI/ - wówczas to Litwinow który był ambasadorem w Londynie wziął udział w pogrzebie wraz ze swoją małżonką, która wystąpiła w klejnotach carskich. To spostrzeżenie kosztowało ją rozszkanie z cękami i została skazana z§ 58 na 5 lat pozbawienia wolności, Nie odbierało jej to humoru, zawsze była uśmiechnięta, upudrowana /proszkie do zębów/, z brewkami umalowanymi- ruda i nieco piegowata blondynka. Spacer odbywała w złotych patofelkach i

szarnej sukience ze złotym paseczkiem i wyhaftowanym bukietem kwiatków,. Szła strzelając oczkami we wszystkie strony napotkanych N.K.W.D-ystów, po drodze szczególnie upatrzyła sobie komendanta grubego Uzbeka. Awiadomo, że więźniarka to dla nich zakazany owoc w więzieniu, ponoć w obozach pracy było inaczej. Ona to gdy mnie atrarosta - wstrętna ruska baba- wyprowadzała z równowagi, z daleka wołała:

- Nie złość się jedna zmarszcza więcej - tak zawsze mawiał mój mąż. mnie stać na to abyś ty się nie złościła.

Prócz niej było tam też więcej Polek równie miłych, poza tym były tam stare kobiety Rosjanki skazane też z paragrafu 58 za propagandę religijną, bo komus tam dały święty obrazek. Myśmy jednak swobodnie śpiewały pieśni do Matki Bożej, w czym pomagała nam p. Tiger-Rajer, choć była Żydówką. Pewnego dnia całą naszą celę przeniesli do budynku znajdującego się gdzieś w podwórzu. Dostęp był niewygodny bo wchodziło się tam po stromych schodach a dla tych, które znosiły "parasze" wprost zabójczy, dziwne że żadny z nas nie uległa wypadkowi - był <sup>to</sup> istny cud.

Umieszczono nas w przedsionku i dużym pokoju ale tylko te, które miały §32, zaś obok z tego przedsionka wychodziły drzwi do pokoju, w którym umieszczono przestępczynię pospolite. Ten był zamykany na kłódkę. Stamtąd często dochodziły wrzaski, zapewne więźniarki się biły. Zauważyłam, że tego rodzaju kobiety o wiele trudniej znoszą areszt niż niewiasty z inteligencji. Prócz tych wrzasków cierpialiśmy bardzo z innego powodu, ściany były brudne, a u sufitu jak jaskółcze gniazda zwisały całe kolonie pluskiew, Gdy tylko nastawał zmrok, spadały na nas a i to trzeba powiedzieć że na skutek gorąca jaki tam panował garderoba nasza był bardzo uproszczona ograniczającą się jedynie do bielizny / stanika i majtek/ miały więc łatwy dostęp do naszego ciała. Nie kąpałyśmy ich, ale poprostu rozduszałyśmy na ciele, walka trwała do momentu, kiedy znużone zasy-  
piałyśmy, a rano znów wisiało kilka ich skupisk pod sufitem



i wcale nie było widać ubytku. Ciała nasze były pogryzione przez pluskwy, do tego dochodziła potówka, trochę łagodziło to, mycie w łaźni, ale tam znów była inna przykrość. Po wodę w stroju Ewy sta-  
wało się w kolejce z drewnianym szaflikiem w ręce, a wodę wydawał  
mężczyzna tzw. "bańszczyk". Upokorzenia na każdym kroku, ale kiedyś  
pojawiła się chyba jakaś infekcja na terenie więzienia, bo pewnego  
dnia popędzono nas "na kąkole". Szłam z tyłu ociągając się i myśląc jak  
ja to będę spała na plecach pokluty walcząc z pluskwami, więc  
postanowiłam się wykręcić. Pozostawałam w tyle a gdy oddaliłam się  
od moich towarzyszek, podszedł do mnie strażnik i pchnął mnie do  
przodu - odwróciłam się do niego i zapytałam:

- Od kuda w ~~Sowietkim~~ Sojusie można izdziewatsia nad zakluczo-  
nym? On zbaraniał

- Ja wże brała ukoły w Siempałatyńskie i bolsze nie budu.

- A ja nie znaju.

- Smarrytie w moje dokumenty, na waszych rukach ani - odwróci-  
łam się i wróciłam doę celi. Był to początek sierpnia 1941 roku, już  
gen Sikorski na skutek podpisania umowy polsko-sowieckiej w Londynie  
/ dnia 30 lipca 1941 roku / działał na terenie Rosji, o czym nie  
wiedziałyśmy na razie, lecz wyczuwałyśmy że władze więzienne traktuj  
nas jakoś łagodniej, bo nawet nasze schody nie były strzeżone. W tym  
nowym locum jako sąsiadkę miałam p. majorową Glati, osobę niemłodą,  
ale elegancką, postawną i kulturalną. Spędzałyśmy czas na rozmowach,  
a czasem wchodziłyśmy do pokoju obok, gdzie przebywały prócz Polek  
i Rosjanki skazane też z § 32- tak zwane "perebieszczycy z Kitaji",  
uciekiniierki z Chin. Najdłużej przebywała w więzieniu Katia z zawodu  
nauczycielka i właśnie spodziewała się w najbliższym czasie - na  
dniach opuścić więzienie, bo wyrok 3-letni już jej się kończył, W  
Chinach wyszła za Chińczyka, dobrego męża i ojca, bowiem miała z nim  
córeczkę, był to rok 1938. Wtedy właśnie na terenie Chin pojawiła się  
jakaś organizacja terrorystyczna

podpisująca się trupią czaszką i dwoma piszczelami skrzyżowanymi wysyłająca pisma z pogrózkami, że jeśli jako Rosjanka nie opuści Chin, to zamordują ją. Wzięła więc dziecko na rękę i przeszła granicę bo mówiono jej, że tylko 2 tygodnie potrwa areszt. Były też inne KŁ kobiety, miały wspaniałe i kosztowne wręcz luksusowe rzeczy. Ale też między nimi kobieta wiejska, która na skutek tych pogrózek wraz z mężem też Rosjaninem i dziećmi wozem drabiniastym przejechała granicę, bo przecież tylko 2 tygodnie mieli odbywać areszt i wyjść na wolność. Nie wiadomo kto krył się pod tą organizacją, czy to działały Chiny czy też ZSRR. Pewnego dnia przejmujący krzyk a potem płacz wstrząsnął nami, tak płakała owa Katia, która nie mogła opuścić więzienia, choć odbyła karę.

Jeśli o nas chodziło oczekiwaliśmy, że dzieje się coś niezwykłego wokoło nas, albowiem wyprowadzono nas na wolny plac otoczony wieżyczkami ze strażą, a więc na powietrze i tam miałyśmy przebywać. Na placu tym znajdował się duży szafas tonący w piasku z poszyciem z jakichś roślin, jednak bojąc się piasku ze względu na tarantule, i skorpiony / nawet raz wlaź nam do celi/ i pchły - pozostałam na odkrytym placu umocowawszy na czterech kijkach prześcieradło, polewając je od czasu do czasu wodą. Wtedy to jedna z polek przybiegła do nas pokazując kawałek wydartej gazety, którą podobno rzucił jej strażnik z wieżyczki "14.VIII.1941 roku Układ polsko-rosyjski o tworzeniu Armii Polskiej w Rosji, ogłoszenie tym samym amnestii dla Polaków".

Zaczęto nas wzywać do prokuratora, wreszcie i ja poszłam, zaczęła się rozmowa:

- Da Jelena Tadeuszewna Scheuring, kakaja wasza nacjonalność?
- Polska - odpaliłam
- Apoczomu familia sowierszenno germanskaja? Eto nie udziwitelno.
- U was minister Wyszyński, toż u niewo polskaja familia, a on ruskij czołowiek.



- Nu tak charaszo — powiedział z tym wyszłam.  
W końcu otrzymałam dokumenty których brzmienia dziś nie pamiętam. Pierwszy z fotografią dokument amnestyjny a na mocy tego otrzymałam drugi. Dokument ten stwierdzał, że jestem obywatelką polską i upoważniał do przekroczenia granicy. Dokument ten sernaciłam bardzo prędko po przyjeździe do Żana siemiej gdyż niestety zaczął się handel tymi dokumentami, a był on wydawany jedynie tym , którzy byli "specperysieńcami" to jest specjalnie zesłanymi a nie "dobrowolcami" tj. tymi którzy dobrowolnie przyjechali do Rosji. Sprawę meldunku powierzyłam komuś, kto wydawał mi się solidny , niestety wrócił bez niego, twierdząc że mu ukradli. Byłam pewna że go dobrze sprzedał i na mój dokument wydostała się pewnie jakaś kobieta, która dobrowolnie przyjechała do tego "raju", a teraz miała możliwość ucieczki. Dobrowolcy rekrutowali się przeważnie z Żydów, którzy schronili się do Rosji przed Hitlerem. Wracam do chwili gdy na mocy amnestii opuszczałam więzienie czyli Punkt rozsyłczy w Czimkencie. Zaczęliśmy opuszczać więzienie, pani Tiger-rajer nie pożegnała się. spieszyła do córek - ale ja myślę, że w tej chwili uświadomiła sobie niebezpieczną sytuację w jaką wpadła lekkomyślnie kokietując naszych opiekunów. I rzeczywiście gruby Uzbek naczelnik więzienia poszukiwał ją i zrozpaczony powtarzał "Gdzie eta bładina?", a myślny pękały ze śmiechu. Teraz trzeba było decydować w jaką stronę najlepiej jechać, wybrałam nieszczęśliwie, do Żana- Semiej, przypomniawszy sobie że tam powinna być moja siostra cioteczna zesłana z dziećmi, Gdy tam przyjechałam pozostałam koczując nazazie pod piecem na podłodze. Izba nie była duża, a połowę jej zajmowała półka, na której było usytuowane łóżko rodzinne, matki i trojga prawie dorosłych dzieci, dalej stał stół i duża ruska "pieczka" do niej to śpiąc na podłodze w nocy się tuliłam. Znalazłam pracę jako pomocnica kucharza, w restauracji jedynej w Żana-Siemiej, , praca była bardzo ciężka ale byłam syta. Szef był ze mnie

zadowolony, właśnie może to wpłynęło na moją niekorzyść, bowiem przeniesiono mnie do stołówki na kelnerkę i tak zakończyłam moją pracę w tej instytucji, przenosząc się następnie do szycia skór. Firma ta miała nazwę "Krasny Chimik", podlegała jej także garbarnia, a w Semipałatyńsku - zakłady wyrabiające swetry, które powstały dzięki Polkom. One to nauczyły Rosjanki robić nadbratnich. a tego wszystkiego dowiedziałam się na pożegnalnym zebraniu w roku 1946 - gdzie dziękowano Polkom/ gdy opuszczaly ZSRR/ wogóle za pracę w różnych dziedzinach zaś w szczególności w tej właśnie. Na razie szyciem tak zwane "uszy futrzane" do czapek, które szły dla armii i tu stałam się nie tylko "stachanówką" ale i "udarnicą". Pewnego dnia pojawił się jakiś urzędnik, który zasiadł za moimi plecami ze stoperem, początkowo nie mogłam się zorientować o co chodzi - ale majster nasz szepnął mi:

- Pociszej pani Galina pociszej - awięc chcą nam podwyższyć normę, a ma robiłyśmy już bokami. Przyszedł taki dzień, że przez 3 dni nie mogłam dostać chleba, bo z a b r a k ł o , a całą noc przestałam na mrozie czekając na naftę, którą dopiero rano zaczęli sprzedawać. Tam ludzie byli bardzo cierpliwi.

Ale też radość nasza nie miała granic, gdy usłyszeliśmy przez nadzniczkę radiową "Rotę" Konopnickiej. Tak potrafili kokietować gdy był nóż na gardle. Wtedy to potworzyły się Delegatury Polskie na tych terenach gdzie były skupiska zesłańców polaków. Delegatury te miały obowiązek łączyć rodziny, otrzymywały też dary amerykańskie w postaci leków i odzieży, a nawet maszyny do szycia. Niestety różnie to było z tymi darami, ale najważniejsze - że delegaturę z Akmułińska zawiadomiła siostrę ciozeczną u której mieszkałam, że w tamtejszym szpitalu przebywa mój mąż dr. Witold Scheuring - sędzia z Gniezna - ta wiadomość pełna nadziei dla mnie na jaśniejsze jutro, uradowała moje serce właśnie w dzień



wągilji 1941 roku. Środziło teraz o to byśmy się połączyli, mąż leżał w szpitalu, a ja nie miałam pieniędzy, aby mu posłać na bilet kolejowa, o czym mu doniosłam.

## V. Spotkanie z mężem

Było to wieczorem, naraz otworzyły się drzwi naszej izby i stanął w nich mój mąż a wprowadziła do p. Salzmanowa nasza sąsiadka ze słowami - jest pan u żony. Ale mąż mój był bardzo zmieniony - twarz blada nadmiernie zwężona, czoło jeszcze bardziej szerokie a pod brodą u nasady szyi z obu stron wydatne gruczoły limfatyczne. Gdy całowałam go na powitanie - krzyknęłam - przepraczałam jadłam czosnek, na co on oświadczył że teraz już go to nie razi, a po przywitaniu się z moją cioteczną siostrą i jej dziećmi przeprosił że o tak niewłaściwej porze przychodzi, ale zmusił go do tego okoliczności w jakich się znalazł. Przyjechał właśnie teraz wieczorem do Żana-Siemiej /Nowe Miasto/ a ponieważ pora była spóźniona postanowił, że tą noc spędzi w poczekalni.

Na stacji wysiadło prócz niego jeszcze dwóch pasażerów i postanowili przeczekać noc w poczekalni, która nie posiadała nic prócz ławek, była nie-ogrzana a przylegające do niej pomieszczenia jak bufet były zamknięte i ciemne, liczył że znajdzie tam fryzjera gdzie się ogoli i umyje ale napróżno szukał. Postanowił wraz z towarzyszącymi mu podróżnymi zanoć w tej poczekalni i gdy przygotowywali się do ułożenia na ławkach zjawił się niespodzianie milicjant, który kategorycznie oświadczył że to jest zabronione bo poczekalnię na noc zamyka.

Wszyscy trzej opuścili poczekalnię, a jeden z pasażerów zapytany czy zna tę miejscowość oświadczył że tak, idzie do swego domu i może wskazać ulicę o którą pytał mój mąż. Brnęli w śniegu po kolana mąż ledwo nadążał za nim, a był to chłop wysoki, silny idący pospiesznie ponurej twarzy i odpowiednio obdarty - tak że mógł budzić pewne obawy zwłaszcza że mój mąż miał w swoim "worku dziadowskim" także skarby jak 2 bochenki chleba, 100 rubli - dar Delegatury w Nowosybirsku i inne które łączyły go z 22 miesięcznym pobytem



w łagrze. Szli dosyć długo i wreszcie znaleźli się wśród nielicznych domów położonych na stoku spadającym ku Irtyszowi. Wtedy to przewodnik męża rozglądając się dookoła rozłożył ręce oświadczając że muszę sam szukać ~~tego~~ domu, a on pospiesza na swój nocleg.

Mąż stanął bezradnie - domy ciemne, numerów nie widać ale w jednym z nich nie tak oddalonym zobaczył oświetlone okno tam postanowił podejść. Właśnie rozbierała się do snu młoda osoba, zapukała do okna a zapytany czego szuka usłyszał proszę chwilę zaczekać i wybiegła do drzwi wejściowych. Otworzyła mu mówiąc: trafił pan, proszę wejść, Ale usłyszała proszę mi pomóc wejść na próg, bo jestem tak osłabiony że sam nie potrafię /to mi na drugi dzień powiedziała pani Salzmanowa/ i w ten sposób jest już przy mnie i zdaje mi się że wszystko co co złe - okrutne minęło. Układając się do snu pokazał mi moje ręce i nogi spuchnięte do łokci i kolan sinoczerwone, a ciało tak wychudzone że można było policzyć mu żebra.

Całą noc opowiadaliśmy sobie nasze przeżycia a także dowiedziałam się, że w Nowosybirsku na stacji w polskiej placówce spotkał jakąś moją znajomą z Gieorgiewki która dla "pocieszenia" go zaznaczyła że posiwiłam i mam kaleką rękę.

Gdy już nacieszyliśmy się sobą, poprowadziłam męża do miejscowego szpitala, gdzie jak się okazało ordynował doktor Finsterbusch lwowianin, prymariusz szpitala żydowskiego we Lwowie i towarzyszył męża z Brygidek lwowskich. Ale tutaj ordynatorką była "wracz" Grodzieńska o polskim nazwisku, lecz po polsku nie mówiła. Od niej dowiedziałam się, że mąż mój cierpi na chorobę zwaną "pelagrą" /awitaminozę/ że nie mają lekarstw na tą chorobę, ale spróbują ją leczyć dietą, tj. wykluczają z jadłospisu potrawy mączne, a przędą na mięso. Ale dr. Finsterbusch powiedział mi na ucho, że z takim sercem mąż pożyje najwyżej miesiąc. Narazie podamy strychninę w zastrzykach. Pani Grodzieńska zanisała na receptę drożdże piwne po które

chodziłam do browaru aż do Semipałatyaska, także poleciała kupnąjaj, i które gdzieś z trudem zdobywałam. Warunki szpitalne miał jak na owe czasy dobre, był życzliwie traktowany tak przez personel leczniczy jak i współtowarzyszy. W międzyczasie dr Finsterbusch połączył się z żoną i wyjechał na południe do armii polskiej, a mój mąż po kuracji trwającej od dnia 19 stycznia do dnia 4 marca wyszedł ze szpitala wzmocniony, już bez biegunki, która była spowodowana nasileniem "pelagry", w miarę silny, jednak rekonwalescencja miała jeszcze potrwać długo.

Teraz on stał się zaopatrzeniowcem a ja karmicielką-pożal się Boże. Zmieniłam mieszkanie, bo trzeba było tak zrobić i ze względu na połączenie<sup>nie</sup> z mężem. Zaczęło się nasze nowe życie, cieszyliśmy się nawet znalezionymi na śmietniku puszkami z koserw, bo stanowiły one nasz sprzęt kuchenny, a kiedyś znaleźliśmy miednicę bez dna i udało się nam dać ją naprawić, bo dno wstawiono z blachy -mieliśmy się już w czym umywać. Mieszkanie wynajęłam z meblami tj. z łóżkiem, a za materac służyły nam skórki bydlęce /odpady/, które pozwolono mi wziąć z pracowni, umieszczone w jakiś zeszytych workach. Imitowały one bardzo nieudolnie łóżko sprężynowe, zaś w środku izby stał kazachski okrągły stół składany, na niziutkich nóżkach. Przy takim stole można jadać, siedząc na dywanie który Kazachowie sporządzają z białej wełny najczęściej w kolorze popielatym wokoło ozdobionym kolorowym szlakiem dywan ten nazywają "koszmą". Niestety nie mieliśmy dywanu, musieliśmy stół podwyższyć przepiękowanym pniakiem zaś dwa zbite zydelki służyły jako taborety.

W nocy tuliłiśmy się do siebie, aby podzielić się ciepłem a także mąż zakładał na głowę czapkę wełnianą, bo bardzo marzył w głowę choć nie był łysy, jakoś ta poniewierka oszczędziła mu fryzurę, która choć nie bujna, ale zawsze sdo biła. Nakrywaliśmy się wszystkim co było pod ręką przy  $-25^{\circ}\text{C}$ , właściwie w prawie nieopalanej izbie.



Przedziwnej konstrukcji kuchnia tylko tyle ciepła, aby ugotować trochę stawy i to już było wiele. Najważniejsze że byliśmy razem i tak przytaleny spaliśmy do rana.

Wstawiałam dosyć wcześnie, aby ugotować wrzątek i zaparzyć "frukto-  
wyj czaj"- były to wyciąki z różnych owoców. Najlepsze spijali wybrancy a dla plebsu pozostawały wyciąki, mąż wypijał w kółku tą herbatę zahryzając czarnym chlebem, bułeczką, którą czasem udało mu się kupić jako uzdrowiencowi /"bolnoj" /. Teraz już nie żyłam bez chleba, bo mój mąż zaopatrzeniowiec, potrafił sobie wyrobić stosunki i pozostać kierowniczkę sklepu, która pomagała mu jak mogła do uzdrowienia i w swej życzliwości brała tylko należność za towar, dyskretnie pomijając kartki żywnościowe. Naprawdę dzięki tej zacnej kobiecie czuliśmy się prawie syci, wspólnie układając swoje życie. Tolu nauczył się nosić wodę na "kuromesłach" z Irtysza, który wspaniały i nieujazmiony płynął niedaleko naszej lepianki i tak upływały nam dni aż do wiosny 1942 roku.

Pewnego dnia przyszło wezwanie do męża aby stawił się do "Wojenkamatu", gdzieś mamno zaświadczenia lekarskiego o stanie jego zdrowia został uznany za zdolnego do służby wojskowej. Polecono mu udać się do polskiej delegatury po rozkazy - a rozkazywał tam p.por. Reginia Władysław. Na okólnikach podpisywał się tak - a złośliwi twierdzili że to "W" wygląda jak rzymskie IV a więc Reginia IV -ty święty królewski podpis, i miał odpowiednią do podpisu minę wraz z posturą. Wszyscy na ogół się dziwili, że ktoś po opeszczeniu żagru lub więzienia sowieckiego tak wygląda. Był to nauczyciel z wileńszczyzny, znał niżylicę i jako gramotny pewno pracował w biurze, a teraz wydawał rozkazy w polskiej delegaturze jako rzecznik od spraw wojskowych, Mąż dostał rozkaz wyjazdu do Guzaru w Uzbekistanie, jako komendant powołanych do wojska rekrutów. Musieliśmy się rozstać, dla mnie nie uzyskał

powołań do armii, które tylko może wystawić Centrum Wojskowego Wyszkożenia w Guzarze jak Reginia twierdził. Mąż namawiał mnie abym jechała z nim na gapę, ale ja bałam się, bo samowolne opuszczenie pracy mogło się skończyć jednym rokiem więzienia  $\frac{1}{4}$  za progu. Dopiero później gdy zresztą było już niemożliwością wydostania się, pouczono mnie, że trzeba było wziąć kilka półlitrówek wódki i z tym byłabym mogła przejechać całą Rosję. Pożegnaliśmy się ze żłazami i z ciężkim sercem wróciłam do domu.



## VI. Rozstanie

Wkrótce zaproponowano mi pracę higienistki w Delegaturze polski pracę i niemiałą a nawet niebezpieczną. Nakładano bowiem na mnie obowiązki wcale nie mające nic z higienę wspólnego - pewnego razu proziło mnie pobicie gdy legitymowałam przebywających w Schronisku dla amnestoinowanych Polaków, tam przebywających ludzi, bowiem władze rosyjskie twierdziły że w tym schronisku nocują również rosy, czy przestępcy i że go zamkną jaśli tak będzie. Ale jakoś wywiązywałam się całkiem nieźle, <sup>ata</sup>praca wymagała przeniesienia się do Semipałatynska - z Żan-Siemiej gdzie mieszkałam. Z przyjęciem tej pracy żywiłam nadzieję, że może w ten sposób wydostanę się na południe do armii, Narazie czekałam na powołaniu do Armii przez Centrum Wyszakolenia Wojskowego i gdy nadeszło udałam się z tym dokumentem do Urzędu Spraw Zagranicznych, ale tam mi odpowiedziano, że musi być powołanie powołanie do dywizji - chyba chodziło o łapówkę, a ja ciągle nie potrafiłam się domyślić. Naterenie Delegatury czuło się jakiś niepokój, przyjeżdżali różni oficerowie, kręciły się tam dobrze umalowane panie, rozmowy z tymi przedstawicielami, armii nie dawały żadnego rezultatu, a gdy powiedziałam, że muszę wyjechać dlatego że przeszłam więzienie, ten nie pytając z jakiego paragrafu byłam sądzona oświadczył:

- J u nas w wojsku jeśli ktoś coś powie na Stalina też idzie do więzienia.

Podobno nie tylko urok osobisty był potrzebny ale też niesłoty i łapówka.

Na terenie Delegatury pojawił się Ks. Kapelan Tadeusz Fedorowicz naprzód spowiadał a potem odprawił Mszę św. w dużej sali Delegatury. Przeżywaliśmy chwile wielkiego wzruszenia, to był już rok 1942, a więc dwa lata bez Mszy św. niedzielnej. Przeniosłam się do

Semipałatyńska; zaproponowano mi mieszkanie na peryferiach miasta. Było to mieszkanie pań które pracowały w przedszkolu. W mieszkaniu tym pozostawiły p. Annę Blicharską, która miała go paliwać. Ale p. Hanka była niedołączna, chorowała na reumatyzm, który nabyła gdzieś w jakimś kołchozie. Właściwie sama potrzebowała opieki, jak narąbanie drzewa, przyniesienie wody z dosyć odległego źródła, przyniesienie chleba kartkowego z miasta a także kupienie produktów spożywczych. Wzięłam na siebie te obowiązki a wyrko<sup>a</sup> moje umieściłam przy ścianie szczytowej pod dwoma oknami. Izba była olbrzymia, czarna, nie wiadomo kiedy była bielona. Dom był stary pod strzechą. Ustawiając moje łożo, na które składały się dwa pniaki położone pionowo i deski ukradzione z parkanu, zauważyłam pod oknem olbrzymią dziurę w ścianie, zalepioną gliną jeszcze mokrą, która nigdy nie wyschła, tak że nawet przylegający do niej worek udający sienianik<sup>a</sup> czasem uległ zgniciu. Sądziłam wówczas, że to tylko czasowe locum i nie należy robić z tego powodu wymówek gospodarzowi. Gospodarz, stary Tatar, nawet możliwy w obejściu, mieszkał pod tym samym dachem, ale wejście do mieszkania miał obok. W pamięci mój pozostał mi najwłodszy syn jego 15-letni o całkiem ładnej twarzy, ale niestety złodziejasek, natomiast najstarszy może 30-letni - po jakiejś awanturze gdy mu zagroziłam prokuratorem, oświadczył mi że zabije mnie siekierą, Choć chłopisko było potężne ja jakoś nie śdczuwałam przed nim lęku i chyba nie mieszkał w tej chłupie, więc nie spotykałam go często. Zresztą pochłaniały mnie sprawy, które dla nas Polaków były najważniejsze. Jak już wspomniałam wokół Delegatury działo się coś niedobrego. Czuło się niepokój, ciągle oczekiwałam nadesłania przez męża wezwania do dywizji, gdyż wezwanie do Centrum Wyszakolenia Wojskowego było według czynników miejscowych niedostateczne, Ewakuacji sierocinca ~~pl~~plskiego też narazie nie przeprowadzano, co ogromnie niepokoiło personel tj. panie których mieszkanie zajmowałam. Nadszedł ostatni list od mojego męża



który napełnił mnie rozpaczą, albowiem pisał z lazaretu gdzie wreszcie się znalazł. Stało się to dlatego jak pisał, że zlecono mu przeprowadzanie musztry z rekrutami, a na pole świeżo czebne przeba było iść 5 km. w upale jaki tam w Uzbekistanie bywa. Trzeba dodać, że każda szklanka wody pitnej którą musiał się wzmacniać po drodze dobrze kosztowała. Te marsze w słońcu i praca przy musztrze tak go wyczerpały, że musiał stanąć do raportu aby uwiadomić o swoim stanie zdrowia. W efekcie usłyszał od komendanta że "pchają się do wojska, a nie potrafią wypełniać swoich obowiązków". Wyobrażam sobie jak go to zabolalo, przecież on został powołany do wojska przez "Wojenkamat", a komisja lekarska orzekła, że jest zdolny do służby wojskowej. Pelagra wróciła, bo była tylko zaleczona ale nie wylęczona. Dalej pisze, że przyjaciele których ma niewiele widząc jak bez mała na czworakach chodzi po schodach - przymocą wepchnęli go do szpitala. Był to jak wspomniałam ostatni list mojego męża z tego terenu, a wiadomo ile niepokoju budzi taka sytuacja. Następująca druga ewakuacja wojsk polskich z Rosji, miało to miejsce w sierpniu 1942 roku, a pierwsza wyprzedziła ją o 4-ry miesiące, niestety ta druga okazała się już ostatnią i na tym zostanie zamknięta ewakuacja Polaków z Rosji. Zdecydowała sprawa oficerów polskich wziętych do niewoli przez rząd sowiecki i niemożność ich wydostania. Kłamliwe wykręcanie się Stalina, że uciekli oni do Mandżurji - składane na ręce gen. Władysława Sikorskiego, zdecydowało o tym co zaczęło się dziać z Polakami na terenie Rosji.

Zaistniała też inna sprawa po zerwaniu stosunków dyplomatycznych Rządu sowieckiego z Polską, odebrano nam dokumenty polskie, nadano sowieckie "Udostowierenia" i staliśmy się znowu obywatelami sowieckimi, a jeśli ktoś odmawiał przyjęcia, zamykano go do więzienia na jeden rok, bo takie były przepisy. P. Blicharska powiedziała że nie odda polskiego dokumentu, ale ja ją uprzedziłam, że jeśli pójdzie do więzienia ja nie będę jej towarzyszyła, bo dosyć miałam

już tej "tury". Poszła - po trzech dniach wróciła i opowiedziała mi jak to się odbywało. Naprzód rozmawiała z takim co nawet dobrze mówił po polsku, przekonywał ją, ale nie chciała przyjąć "udostowierenia" i dali ją do celi między złodziejki i prostytutki, te jednak nie skrzywdziły jej może dlatego że była schorowana, że ledwo się poruszała. Tam doszła do przekonania, że wszelką upór na nic się nie przyda i przyjęła to znienawidzone "udostowierenie". N.K.W.D. dysponowało też innymi środkami przy stosowaniu których pporni miękli. Była to lodówka do której nago wprowadzano, opowiadała mi to osoba która to przeszła.

A więc wszyscy którzy zamieszkiwali do wojny tereny na wschód od Bugu stawali się obywatelami Związku Radzieckiego, a nabywając te prawa musieli pracować, bo - "jesli nie rabotajesz, nie kuszajesz" a więc kartki na chleb nie otrzymasz.

Między nami było też wielu uciekinierów, którzy schronili się w czasie wojny pod naporem wojsk niemieckich do Iwowa i tym władze sowieckie wywiozły w tajgi. Był to trzeci transport zesłańców w którym znajdowali się przeważnie Żydzi z kongresówki, Pomorza, Śląska i Krakowa. Oni nie potrzebowali zaciągać się do pracy bo przysługiwało im prawo otrzymania kartki chlebowej bez pracy. Właśnie do tego transportu - wyjeżdżającego ze Iwowa - dobrowolnie zgłosił się ks. Tadeusz Fedorowicz, ale na polecenie ks. prof. Cienskiego ze Iwowa, aby nieść duchową pomoc.

Niestety trafił niefortunnie, i dopiero gdy gen. Sikorski na terenie Rosji organizował Armię Polską, ksiądz opuścił niewdzięczny teren i zaciągnął się do wojska jako Kapelan.

Wraz z zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Polskim Rządem na emigracji, zaczęły się represje przedawszystkiem na terenie Delegatur Polskich, w Semopalażyńsku N.K.W.D. uwięziło Delegata - Saranieckiego i sekretarza Kucińskiego a także Kuhna i Wełwszczuka, przeprowadzono rewizję nie wiemy czy znaleziono coś co



by obciążało personel, Saranieski i Kuciński - zostali skazani na wiele lat więzienia w Workucie a Kuhn i Weleszczuk na banicję. Polski sierociniec został zlikwidowany, a dzieci miały być przekazane do "Dietdomu" zaś personel zwolniony. Wtedy to powstał projekt ratowania dzieci przed rusyfikacją i kilkoro z nich zostało adoptowanych, Kierowniczką sierocińca p. Irena Bajkowska adoptowała kilkunastoletnią dziewczynę. P. Janina Kryśowa mając dwoje swoich dzieci, Usynowiła 10-letniego chłopca, w sierocińcu pełniła ona funkcję wychowawczynie. P. Krzyworączkowa - kucharka sierocińca wzięła 15-letnią dziewczynkę Cesię. zaś ks. Fedorowicz usynowił kilkunastoletniego chłopca, reszta dzieci poszła do ruskiego "Dietdomu" zaś pozostające zapasy podzielono solidarnie między byłych pracowników i zaś adoptowane dzieci.

Panie z sierocińca wróciły do swego dawnego mieszkania, żyjąc radosną myślą wyjazdu z sierocińcem za granicę, zostały strącone brutalnie "na ziemię" - do brudnej izby. Pani Kryśowa przyjęła to pokornie przygnębiona po oficjalnej wiadomości o śmierci męża w Ankarze. Wiadomości przekazanej przez Ambasadę Polską w Moskwie wraz z obrączką ślubną, natomiast p. Krzyworączkowa stała się wobec mnie wprost złośliwa, zapewne chcąc mnie zmusić do opuszczenia przepelnionego teraz mieszkania.

Niebawem nadarzyła się okazja oddalenia się choć na jakiś czas z tej izby, bo powstała robocza brygada sezonowa, która zapewniała 1kg chleba dziennie, pewną ilość ziemniaków na zimę, a także kapustę. Ta nadzieja, że będę w lepszej sytuacji niż poprzedniej zimy kiedy to mogliśmy z panią Hanką Blicharską spożywać na obiad tylko 3 ziemniaki a juskę z kartofli traktować jako uzupełnienie. Brygada nasza składała się z 12-tu ludzi, w tym 6 kobiet i tyleż mężczyzn, ale miejsce pracy było dość oddalone. Naprzód wieziono nas dość długo ciężarówką, potem przewożono nas łodzią przez Irtysz, a dalej szliśmy 2 km stepem

plantację melonów i kawonów., Na końcu tej plantacji stał mały baraczek z dykty, wysłany sianem, przedzielony na pół, było to nasze miejsce wypoczynku i snu. W jednej połowie spała brygada kobiet, na co skłazy się 3 panny Fedorowiczówny, ja i dwie żony posterunkowych /nazwiska nie pamiętam/, jeden z nich miała ze sobą synka. Zaś drugą półkę zajmowali mężczyźni. Rolę brygadiera wziął na siebie pan Żelenecki /adwokat z Czortkowa/ człowiek w średnim wieku, nieco młodszy był sędzia z Czortkowa, - dalej pomocnik weterynarza, policjant i jakiś urzędnik człowiek młody p. Jeske - Chojński. To nazwisko zapamiętałam ze względu nato, że spotkałam je w naszej literaturze.

Nigdy nie przypuszczałam jak ciężką pracą jest zbieranie ziemniaków na polu - po wykopce. Mężczyźni tego nie robili i nigdy nas nie dopuszczano do kopania, oni kopali a myśmy tylko zbierała idąc za nimi. Przez cały dzień rozciągałyśmy się na skopanej ziemi jak papką spiesząc się by nadażyć, a wieczorem padałyśmy jak martwe, nie mogąc ruszyć ani ręką ani nogą. Pracowałyśmy bez wytchnienia do wieczora, a po krótkim odpoczynku trzeba było coś zgotować - choćby wrzątek do tego ciężko zarobionego chleba. Ale był wśród nas pan, który zwykle po południu rozpalał ognisko i wkładał po wypaleniu - ziemniaki, abyśmy po pracy mogli się pożywić. Pewnego dnia po przywiezieniu codziennej racji chleba i wody, przywieziona nam mięso, co nas bardzo zdziwiło i zastanowiło. Była to surowa szynka wieprzowa. Na szczęście mieliśmy w naszym gronie pana, który w Polsce pracował przy wyterynarzu, fachowym cięciem oddzielił kość od mięsa, a przy kości tkwił duży wrzód - dlatego to Polakom dostała się do zjedzenia ta wieprzowina. Gotowaliśmy ją cztery godziny i w nocy jedliśmy, ale bez apetytu. Pragnienie gasiliśmy kawonami i melonami które rosły na stepie obok baraczku /co zresztą przy ostatecznym rozrachunku wliczono nam do utrzyman-ia/ a przez cały ten czas nie



nie piliśmy wody i nie myliśmy się, bo właściwie wody na ten cel nie starczyło. Pewnego razu dotarła do mnie wiadomość / nie wiem jakim cudem/, że wzywają mnie do delegatury w Semipałatyńsku.

Wyszła bardzo rano aby dojść do Irtysza, bo o tej porze przywożono nam <sup>chleb</sup> łożnię i wtedy tylko mogłam przepłynąć rzekę. Idąc przezornie ~~na~~ wzięłam ze sobą łyżkę, by ~~przez~~ idąc przez step /z plantacją kawonów/ gasić pragnienie. Oczywiście oglądałam się na wszystkie strony, czy nikt tego nie widzi - bódza kradzież mienia państwowego groziła kara jednego roku pozbawienia wolności., Niebawem nadpłynęła łódka, przywożąc chleb i nią się zabrałam.

W Semipałatyńsku dowiedziałam się szczegółu dotyczącego otwarcia ponownego naszej Delegatury, a mianowicie N.K.W.D. poprosiło p. Irenę Bajkowską aby protokółarnie przyjęła to co zostało w Delegaturze po burzliwej rewizji i aresztowaniu personelu. była tam jeszcze d. dary amerykańskie i gdy weszła /tak opowiadała/ rewizja była tak gruntownie przeprowadzana, że nawet ze ścian wszystko zdzierano a na podłodze znalazła zdeptane nasze godło- Białego Orła na czerwonym tle z koroną, który wisiał nad głową Delegata, przed jego aresztowaniem. Podniosła go a oficer N.K.W.D. zaproponował jej objęcie Delegatury. Podziękowała tłumacząc się, że czuje się niezdrowa i będzie musiała się leczyć. Stanowisko Delegata objął więc p. Dromirecki. Mnie wezwano zaś by mi przekazać to co mi przydzielono z darów amerykańskich-otrzymałam sweter wojskowy, półbuciki na gumie/ ale wierzch imitacja skóry/ pół kg. ryżu i tyleż jagły, w końcu skarpetki wełniane, Gdy prosiłam o zmianę na pończochy, gdyż spodnie narciarskie używane przez 3 lata tak się przetarły, że musiałam je skrócić, walek nie mam a skarpetki nie nakryją łydek, p. Dromirecki powiedział mi że "że mam ładne łyżki i mogę je pokazywać nawet w zimie". Ze słowami Przy minus 25<sup>0</sup>C?" - wyszłam. widziałam naszego Delegata wtedy tylko raz, niestety w tak nieprzyjemnych okolicznościach, gdyż niebawem potem podzielił los

swoich poprzedników, nie wiem na ile lat i za co.

Pracę przy wykopkach skończyliśmy, zaciągnęłam się jeszcze do pracy w "Prygorodnymchazajstwie" ale już blisko Semipałatynska, tam też pracowały Polki. Spałyśmy w oranżerii na półkach, nad głową zawiesiłam sobie obrazek Matko Boskiej Nieustającej Pomocy, ale nikt mi go nie zdjął. Tam sortowałam ziemniaki, ale już noce były oszronione i bardzo marzłam we śnie, pora było już wracać - choć chwilą tę odsuwałam jak najdalej.

Wróciłam pod wieczór, mówiłam że jestem brudna i prosiłam aby tylko nikt nie siadał na moim łóżku, Krzyworączkowa zachowała się jak tego oczekiwałam, fukając odwróciła się odemnie, m.p. a p. Kry-sowa oglądając się czy ktoś nie widzi, rzuciła mi na łóżko kostkę mydła amerykańskiego. Tak bardzo czułam się sponiewierana, gdzie jaż ja żyję? Nawet ten co czyni dobry uczynek musi się z tym kryć. Trudno przeba zacisnąć zęby i nie patrzeć w stronę tej, którą trudno było nazwać Polką.

Niebawem wezwano naszą ekipę do podjęcia obiecanych ziemniaków i kapusty, . Wszystko to zniosłam do domu, ,Ziemniaki umieściłam w piwnicy a kapustę umieściłam w komórce i pobiegłam do Rosjanki która obiecała mi pożyczyć beczułkę do ukiszenia jej. Gdy p.p. Krzyworączkowa ją zobaczyła oświadczyła że nigdy nie pozwoli na ukiszenia kapusty, bo nie chce wachać tych smrodów. Kapusta pozostał w komórce, zmasła na kość, a na wiosnę ją wyrzuciłam.

Tymczasem na na terenie ZSRR powstała nowa Armia Polska, a tworzył ją gen. Berling i okazało się jak wielu Polaków nie amnestionowano. Na terenie różnych przedsiębiorstw, gdzie pracowali Polacy i Polki robiono zebrania i szkalowano gen. Andersa który rzekomo: " Udrał z armii" - to znaczy uciekł z Armią Polską z Rosji. Musiałyśmy tego wszystkiego wysłuchiwać milcząco, bo prostowanie tej sprawy mogło zapędzić do więzienia, choć wiedziałyśmy, że w Krasnowodzku armię gen. Andersa żegnano z honorami wojskowymi.



W Semipałatynsku powitałyśmy ks. Tadeusza Fedorowicza który nie zdążył ewakuować się z armią gen. Andersa, bowiem odwiedzając Polaków rozrzuconych po całym Kazachstanie, zachorował bardzo poważnie. Tam odebrano mu dokumenty polskie, ale on nie przyjął pomocy sowieckich, co równało się z pójściem do więzienia. Gdy jednak przywieziono go do więzienia w Semipałatynsku, postanowił przyjąć "udostowierennie" - bo spotkał tu dużą grupę Polaków, a więc otwiera się placówka duszpasterska. Naprzód dowiedziawszy się że sierociniec polski wcielono do "Dietdomu", jak już wspominałam usynowił 15-letniego Polaka i musiał jakoś sobie urządzić życie. Postanowił zapisać się do Instytutu Pedagogicznego/ewakuowanego z Kijowa przed napierającym frontem/ ale nie udało się. Oświadczone mu, że tylko do 30-tu lat przyjmują zapisy, zwrócił się do zatrudnienia. Dano mu pracę stróża nocnego na "Prygorodnym Chazajstwie" z karbinem w rękę. Nie długo tam pracował. bo jak nam opowiadał - w szacie służby zasnął i dostał upomnienie, zaś gdy go kontrolowano znaleziono u niego 3 główki kapusty i zwolniono. Ale nasz ksiądz musiał jakoś przebrnąć przez te wszystkie szykany, poza tym nie był sam, bo opiekował się chłopcem z sierocińca. Nie wiem czy ktoś mu doradził, czy sam postanowił przy nadchodzącej zimie pólować i rąbać drzewo, bo tam opalano mieszkania tylko drzewem. Ucieszyła nas niezmiernie ta decyzja - jak i to że choć w ten sposób mogliśmy pomóc jemu. Jako partnera wziął sobie p. Fedorowicza, zresztą całkiem obcego dla niego, zesłanego z Zaleszczyk wraz z rodziną i w ten sposób mógł nasz kapelan w tej "radosnej rzeczywistości" wegetować a w zaprzyjaźnionym domu pp. Fedorowiczów zamienianym od czasu do czasu na kaplicę, przy naszej obecności dyskretnie odprawiać Mszę św..

Po zebraniu ponad 2.000 podpisów Polaków z terenu Semipałatyńska w petycji o pozwolenie odprawienia Mszy św. w dzień Bożego Narodzenia - skierowanej do władz wojewódzkich, ksiądz odniósł zwycięstwo,

poewolono mu nato i przydzielono na tą uroczystość wielką halę sportową. Śpiewaliśmy kolędy przy fisharmonii, którą wypożyczył p. Fedorowicz i na której też grał - płakaliśmy z radości pełni nadziei na lepsze jutro.

W życiu moim nic się nie zmieniło, nadal nie wiedziałam co się stało z moim mężem, ostatnia wiadomość z lazaretu nie wróżyła nic dobrego. Rozmowy na jego temat z rodakami, prawie zawsze sprowadzały się do słów "pocieszenia", że Guzar jest pełen krzyży polskich, podobno wymierali tam na tyfus. Pisałam do tamtejszego szpitala z zapytaniem o męża, ale nic mi nie odpisano.

Tak jak moje współmieszkanek postanowiłam wziąć pracę chałupniczą z dziedziny dziewiarstwa w frale "Krasynj Chimik". Zarząd znajdował się poza Semipałatyńskiem, ale robotę odbierała btygadzierka /polska żydówka/ w mieście. nie chciałam innej pracy, aby nie mówić po rosyjsku, wolałam<sup>m</sup> pracować jako chałupnica i tu popełniłam wielki błąd o czym przekonałam się później. A więc za marne grosze które wypłacali jak chcieli, a <sup>wystarczające</sup> ~~stozące~~ jedynie nachleb i trochę ziemniaków cały dzień i wieczór przy "kopciłce" / knocik zanurzony w nafcie/ marnowaliśmy oczy, gdy zmęczone z wysiłku same się zamykały, wtedy spożywa-  
liśmy chleb i i ~~każdy~~ do snu.

Pewnego dnia usłyszałam, że moje współmieszkaneki upatrzyły sobie ja-  
locum bliżej śródmieścia - pomyślałam sobie, no nareszcie rozstaniemy się i tak się stało. Nareszcie swobodna, leżąc sama, oddychając bez skrępowania przypominałam sobie chwile które już odeszły, a były dla mnie tak przykre. Może czasem było weselej z dziećmi, ale ta Krzyworączkowa, wszak ona i kotu nie darowała. Abyło to tak - razem z nami mieszkało w tej izbie trochę myszek, tolerowałabym je, gdyby nie to że upatrzyły sobie moją biedną spiżarnię, już kończącą się, a zawierającą parę łyżek ryżu i jagły. Zapas



Ten wisiał na ścianie nad moim łóżkiem na i często w nocy budziły mnie myszy, które z moich miniaturowych woreczków się pożywiały a przy moim poruszeniu się skakały na moje łutro, którym się dodatkowo okrywałam i uciekały w popłochu tupiąc. Wówczas pomyślałam sobie tylko kot nas wyzwoli z tej wysiej agresji. Zdaje mi się, że zlecenie stawiania baniek otrzymałam od naszego rodaka dr Wojno. Miała to być dosyć długa kuracja, co drugi dzień przez 3 tygodnie, dla usunięcia wody w prawym płucu i właśnie będąc tam zauważyłam kota. Mieszkał niedaleko więc pomyślałam sobie, że nawet jeźliby mu nie dogadzała gościna u nas, wróci nieomylnie do siebie. Pożyny<sup>co</sup> kotka natychmiast zaczęła swoją obserwację, a w nocy nie kończące się łowy i każdą ofiarę prezentowała przynosząc w pyszczku pani Han Hance, bo ta biedaczka miała sen bardzo nikły, cierpiała bowiem na bóle reumatyczne. Kot gładki przez p. Hankę, przez dzieci oczywiście i przeze mnie, zadomowił się i wcale nie spieszył się do swego domu i gdy tak pewnego razu leżał na podłodze w plamie słonecznej drzemiac, a było to w pobliżu nóg Krzyworączkowej - ta kopnęła go. W tej chwili ubrałam się i wyniosłam kota do jego domu. Te i owe wspomnienia przeżywałam w myślach żałując tylko p. Hanki i Cesi córki dziewczyny adoptowanej przez Krzyworączkową, gdy pewnego dnia zgłowiła się u mnie pani Hanka wraz z Cesią, prosić abym zamieszkała razem z nimi, bo tu na odludziu mogą mnie okraść a nawet zamordować i to siekierą, jak mi to obiecywał syn gospodarza, no więc zamieszkałam z nimi z powrotem. Opał zimowy się skończył, oświadczyłam że spróbuję pójść do lasu po chrust/ pod naszymi oknami przewijały się Kazachczki niosąc na plecach całkiem pokaźne suche gałęzie sosnowe/ i pewnego dnia poszłam za nimi. Szłam chyba ze 3 km., z daleka zobaczyłam wspaniałe bór sosnowy, serce mi biło z radości, bo to mi przypominało Polskę. W lesie spotykałam kobiety które już miały spory zapas chrustu, jak one to robią? Co chwilę słyszę trzask złamanego drzewa a przecież nie wiażą a sosnę tak jak ja to robię aby

uchwyci suchą gałąź i ją złamać? Były one zaopatrzone w specjalne haki przywiązawszy<sup>je</sup> do pierwszej ułamanej żerdki ~~łatwo i szybko~~ <sup>łatwo i szybko</sup> gromadziły wiązki opałów. Obiecując sobie że i ja zdobędę taki hak aby na przyszłość ułatwić sobie pracę, ułożyłam gałęzie równomiernie i zrobiłam pętlę na nadgarstku abym mogła dźwigać na plecach i powędrowałam do domu. Już blisko miasta spotykałam znajome uśmiechające się, nie wiem czy mi współczuły czy też były to złośliwe uśmiechy, ale okrzyk jednej znajomej Żydówki wyprowadził mnie z równowagi:

- Pani Scheuring szkoda że panią nie widzi mąż, Jak pani okropnie wygląda - zegarek już pani sprzedała?

Odkrzyknęłam:

- Jeszcze z głodu nie umieram, nie sprzedalam i nie sprzedam. /była to jedyna pamiątka prócz obrączki ślubnej która łączyła mnie z mężem i synem, bowiem tą Omegę dostałam od męża po urodzeniu syna/. Nasi Żydzi przeważnie zajmowali się handlem polowali na ten zegarek od dawna.

Ale w naszej izbie coś się działo, wszystko załatwiało się szeptem, na drugi dzień pani Kryсова i Krzyworączkowa udały się do lekarza i wróciły, ale dalej nie mogłam się zorientować o co chodzi,, dopiero gdy oddawałam wykonaną pracę naszej brygadierce oświadczyła mi:

- Proszę się udać do kantoru tam na panią czekają.

Gdy poszłam oświadczone mi że na razie wysyłają mnie do wydobywania torfu, który jest potrzebny naszemu przedsiębiorstwu do opalania w zimie, to nie potrwa długo. Zagadka się wyjaśniła, brygadierka ich ostrzegła w porę, a ja stałam się kozłem ofiarnym. Niestety człowiek pracujący staje się niewolnikiem i choć praca jego a także możliwości są zupełnie inne, mogą z nim zrobić co im się podoba. Poszłam na ten torf, ale trzeba było chodzić kilka kilometrów za miasto.



Tam po kolana w bagnie, cały czys nosiłam z drugą ofiarą nosiarki wyładowane torfem, układając je na suchym miejscu. Oczywiście prócz 60 dkg chleba nic nie otrzymawałyśmy do jedzenia, ale pracować było trzeba. Po trzech dniach pojawiły się na moich ~~pęcherze~~ pęcherze poszłam do lekarza i <sup>dał</sup> mi zwolnienie na 3 dni, po trzech dniach znowu się stawiłam w biurze i tam mi oświadczone że - teraz już nie są nam potrzebni ludzie na torf, ale do budowy ~~skromnikxw~~ ~~Wstx~~ elektrowni w Ust-Kamienogorsku. Struchlałam, wtedy byłam bardzo słaba, wychudzona i zapytałam a jeśli nie pojedę? To wyślemy "na postajenne żytielstwo w kołchoz". Jast to największa grośba jaką można usłysze "Usiądźcie sobie tutaj i przemyślcie tą całą sprawę i propozycję". Jak potem mi powiedziano, to było wymuszenie, bo takie <sup>go</sup> prawo nie ma wobec pracowników, takie zarządzenie może wydać województwo / obłaść/ w stosunku do bezrobotnych, ale województwo zazađało pracowników tylko rekrutujących się z pracowników umysłowych, a nigdy fizycznych, którzy pracowali dla potrzeb frontu. Panienci zatrudnione w biurze pierwsze wiedziały o tej mobilizacji i prędko zaczęły się leczyć, tym samym znikając z biura, więc schwymano mnie bo ja byłam "diewuszka"/nie miałam ani męża ani dziecka/ - można można ze wną robić co zechcą. Popłakałam sobei i wyraziłam zgodę, W tej chwili znalazł się przede mną olbrzymi bochen chleba, litr oleju słonecznikowego, miękkie pantofelki wywrotki, olbrzymie buty brezentowe na podeszwie z opony samochodowej i rękawice robocze. zanlała się natychmiast podwoda, która miała mnie zawieść do domu, stamtąd z moim ubogim mieniem do portu na Irtyszu, bo miał nadpłynąć statek jadący w górę rzeki aż do Abła -Kietki/miejsu gdziei skomasowani są robotnicy przy budowie elektrowni w Ust-Kamienogorsku". Wpadłam do domu zabrałam moją pościel i rzeczy. Pobyt miał trwać 6 tygodni, pożegnałam się tylko z panią Hanką i wyjechałam.

## VII. Na "strojce" w elekrowni

Był dzień 13 czerwca - dzień Św. Antoniego, w dniu tym kończyłam właśnie nowennę do tego Świętego, prosząc go by mnie wyciągnął z tej strasznej nędzy. Odsunęłam się od tego ludzkiego mrowiska, które kotłowała się blisko portu, tak przetrwałam noc ~~tam~~ i na drugi dzień podeszła do mnie jakaś pani i odezwała się po polsku indagując mnie czy jadę też tym statkiem.

- Oczywiście - odparłam.

Prosiła mnie ażeby <sup>zajęła</sup> zajęła się jej córką, dziewczyną 18-letnią i roztoczyła macierzyńska opiekę na nią. Był to 14 czerwca 1943 roku, jutro Św. Wita, dzień imienin mojego męża, Dziewczyna oddana mi w opiekę okazała się całkiem przyjemna, ale jej doświadczenie życiowe było chyba większe od mojego. W pewnej chwili nadpłynął statek, i nim ja dobiegłam z moimi rzeczami do portu i gdy weszłam na statek, a wreszcie do olbrzymiej sali z kojami, wszystko już było zajęte; posuwając się dalej weszłam pod pokładem do magazynu zawalowanego workami z suszoną rybą. Panował tam półmrok i specyficzny zapach suszonej ryby, bardzo przykry, wrost gryzący w gardło, ale cóż było robić, Statek już ruszył, wcisnęłam się w załamanie między workami i czekałam na zmiłowanie Boże. ~~W~~ nadeszło. Zjawiła się moja podopieczna, która też pozostała bezkoi. Podróż ma trwać 3 doby - musi się spać. Ponieważ podobnie jak i ja kilka Polek znalazło się w takiej sytuacji właśnie, zaczęły pertraktować z kapitanem i ~~z~~ znalazła się rada trzeba wykupić kajutę, która kosztowała sporo. Było nas osiem, nasz bagaż wsunęliśmy pod kanapki razem zsunięte, które w ten sposób utworzyły coś w rodzaju dużego łoża i tak nie rozbierając się, spałyśmy zmieniając się, by wszystkie wypoczęły.



Statek płynął w górę Irtysza, krajobraz zmieniał się, brzegi płaskie zamieniały się w jary, a roślinność traciła swą stepową szarość, nabierając kolorytu i blasków intensywnej zieleni. Nawet powietrze tchnęło jakąś świeżością, na środku rzeki ujrzałam małą wysepkę a na niej pasące się gęsi, odbijające swoją białością od zielonej trawy, w sąsiedztwie zagrody. Przypominało mi to nasze wioski i przygnębienie towarzyszące mi powoli ustępowało, choć ciągle napływały różne informacje na temat co nas czeka, a więc łamanie nóg przy pracy, a nawet wypadek pęknięcia rączki od taczek w czasie wysypywania z niej kamieni i nadziania się na nią pracującej kobiety. Krajobraz ciągle piękniał, koryto rzeki zwężało się, a brzegi stawały się już bardzo strome. Dopływaliśmy do celu, prawy brzeg ubierały świerki pnące się w górę, a lewy do którego zawinął statek był pozbawiony roślinności, goły, zrównany - a nawet leżały tam wąskie szyny a na nich małe wagoniki do przewożenia kamieni. Pięliśmy się pod górę do baraków, które miały nam służyć jako mieszkanie podczas tej katorgi. Już z daleka ukazały się 4 wieżyczki a gdy bliżej podeszliśmy, wyłonił się przed nami plac zamknięty czworobokiem baraków, na każdym załamaniu stała wieżyczka "narazie bez warty/ zaś przez strzeń tą obiegał głęboki rów i drute kolczaste, a jedynie przez szeroką bramę można było wejść bez strachu. Ten widok nasunął mi niewesołe myśli: a więc w takim czworooboku musiał żyć mój mąż przez te 22 miesiące więzienia, także i ja bym tego doczekała gdyby nie amnestia. Wzdrygnęłam się, a gdyby teraz zamknięto tą bramę, przecież oni są zdolni do wszystkiego. Weszliśmy do baraku na prawo, na dole były półki, ciągnące się bez przerwy od ściany do ściany, potrzywywane przez belkowanie zaopatrzone e drabinkę która wiodła do górnych półek, rozmieszczonych podobnie. Zajęliśmy górną półkę ja i moja miła dziewczyna pełna sprytu, który i mnie coś nieraz dał. Moja nowa znajoma

okazywała mi życzliwość, a to przecież było najważniejsze. Było już po południu, postanowiłam zwiedzić tę czarującą krainę, poszłam w górę aby oglądnąć okolicę I znalazłam całe łany poziomek. Na razie jeszcze jagody miały brzuski białe, poczekam trochę aż się zarumienią. Siedziałam, patrzyłam, przypominały mi się nasze Gorgany czy też Czarnihora. Oddychało się cudownie - ~~sta~~ a ta niepowtarzalna w kolorycie zielen, której przez tyle lat nie widziałam a te śliczne błyszczące jak ciemne szmargdy olbrzymie żuki - pracowicie toczące kulkę nawozu - czy ja śnię? Przecież może tu się odrodzę. Jakoś podniesiona na duchu wróciłam do baraku, który jak się dowiedziałam miał nazwę "Foniernyj Gorodok". Żadne miasteczko z dykty~~st~~ pod malowniczymi wieżyczkami, obrotne nawet ale przed kim? I tak zaczęło się moje życie, już nieco inne. Zaczęliśmy pracę nocną, przetaczanie wagonów już nałożonych kamieniami. Często padał deszcz, wtedy chroniliśmy się w olbrzymich rurach betonowych, a najbardziej cierpiało moje futro i stawało się coraz kótsze, zwłaszcza rękawy. Rano wracaliśmy na nasze szelki, aby odespać przespaną noc, budziłyśmy się na obied, który podawano w baraku na dole w dużym pomieszczeniu. Wtedy to mogłyśmy wreszcie usiąść przy stołach i gdyby nie to że w szczelinach tych stołów mieszkwały karaluchy / zwane prusakami / możnaby jakoś zjeść z apetytem ten obiad. Co prawda codziennie była "kotletka" z ziemniakami prócz jakiegoś "rosolnika" lub "szczy" czasem "borszcz", no ale krzaka trzeba było żyć w symbiozie z tymi owadami i nie patrzeć na nie, wtedy to jedzenie nawet smakowało, zaś po obiedzie znowu się spało aż do kolacji którą się robiło we własnym zakresie. Praca była ciężka trzeba było się przed nią pokrzepić musiałyśmy sobie kupować ziemniaki, gotować i jakoś tę biedę pohać, aby mieć siły i nie ulec jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi. Sprzedałam dwie cenne rzeczy: wspaniałe



sweter wełniany dar delegatury i koc/dar mojego brata przysłany mi z Anglii/. Obok naszego baraku znajdował się "KŁUB" który zwiedziłam przed nocną pracą. Nikogo tam nie widziałam, ale pianino tam stojące zwabiło mnie i po latach, już z ręką prawą nie-sprawną zaczęłam sobie przypominać coś co grałam z pamięci. gdy przeszłam do walczyków, obejrzałam się i kółka par dziewcząt tancyło. Mężczyzn tam, prawie się nie widziało, czasem przewijał się główny inżynier, wysoki, szczupły, w okularach dla krótkowidza, a drugi jak mówiono przedstawiciel partii - najważniejsza szyszka. Poza tym pracowało kilku dziesiętników, podobno młodych chłopców i w naszej brygadzie co dopiero zauważyłam, wtedy gdy zaczęłyśmy pracę dzienną, stary Kazach.

Praca trwała osiem godzin bez "prykurki" za to nam mieli płacić i jeszcze dwie godziny "nakrasnaju armiu" bezpłatnie, Po dziesięciu dniach pracy nocnej, bez wypoczynku przeszłyśmy na pracę dzienną. Pracowałyśmy na wysokim urwisku, żółtem i dżgannym, strącając w dół kamienie i głazy. W dole płynął lśniący Irtysz, pełen uroku, czasem spływało czółno małe jak skorupa orzecha, a w niej drobne postacie ludzkie. Pracowałam tylko wśród Rosjanek, gdyż moja matka podopieczna jako była siła biurowa tj. "gramotna" - otrzymała pracę w biurze a może i na placu robót, w każdym razie nie fizyczną. Rosjanki były sympatyczne, słownik mój powiększył się zaskakująco prędko i to w słowa najbardziej wulgarnie, których narażenie nie rozumiałam, aż wreszcie spytałam autorkę ich o ich znaczenie. Ta wyważając żółtem wielki głaz mówiła "Ty bladź z kotiołkom" zapytałam wreszcie:

- Szureczka skaży pożałosta szto takoj ta bladź z kotiołkom?

- Ieneczka, bladź z kotiołkom - što chuźsze prostytutki.

Przyznam się że to mnie zdziwiło, bo cóż może być gorszego od tej profesji, znanej od stuleci ale ułatwiającej niestety życie przedstawicielkom tego zawodu. Komentarz ten zrozumiałam choć

zapewne jakoś wyzwisko to pomagało w wywalaniu kamieni dużych kamie ni - przestałam się nim posługiwać. . Podziesięciu dniach na pracy na tej skarpie /też boski cud, że żadna z nas nie spadła w przepaść przeniesiono mnie niżej do wywożenia kamieni taczkami i zrzucaniu do rzeki.

Normą dzienną było naładowanie 40-tu taczek i zrzuceniu zawartości do rzeki. Muszę dodać, że po drodze stał może 10-letni chłopak, który mierzył podziątką czy taczka jest wypełniona jak należy, czy przypadkowo nie popełnia się oszustwa wobec państwa, które tak dba o swoich obywateli i "gdzie tak lokko dyszyt czełowiek" chłopak ten zapisywał też ilość wyrzucanych taczek. Przecież to zbrodnia ta zatrudniać kobiety, to nic dziwnego, że po powrocie do kraju lekarz ustalił, że żołądek mój obsunął się na szerokość czterech palców w dół. Pracować musiałam i nawet doszłam do przekonania, że łatwiej mi staczać naładowaną taczkę po stalowej desce niż nakładać, wobec tego wzięłam na swoje barki wyrzucanie dziennie 120 taczek kamieni, nakładanych mi przez dwie kobiety. Pracowało się cały dzień w pyłe, przy warkocie świdra, którym wiercił otwory w kamieniach stry Kazach. Gdy kończyłyśmy ośmiogodzinną pracę wszyscy usuwali się z terenu, wchodzili pirotechnicy, zakładali lonty i rozsadzali skałę, a potem wracaliśmy aby jeszcze "na Krasną Armię" dwie godziny popracować. Wreszcie i ja zachorowałam, wrócił mi ischias, . Kazali mi przetoczyć spory głaz do rzeki i chwycił mnie dawno zapomniany ból. ~~Wreszcieixixjxzxachx~~ Poszłam, do lekarza, ale nie było mowy o zwolnieniu, choć kilka kressek powyżej 37<sup>0</sup> na termomwtrze wskazywało że coś się dzieje niedobrego, musiałam dalej pracować, a każdą czynność wykonywałam od przysiadu aby nie pochylać się.

Jak grom z jasnego nieba spadła na nas Polaków wiadomość o śmierci gen. Sikorskiego, a przekazał ją nam główny inżynier gdy przechodził koło naszej ekipy. Było to w pierwszych dniach



lipca, zatrzymał się koło nas i powiedział, że przykro mu przekazać tę wiadomość tak dla Polaków smutną, ale ponieważ wielu tu pracuje Polaków powinien to powiedzieć. Otóż 4 lipca 1943 roku poniósł śmierć gen. Sikorski przy starcie samolotu nad Gibraltarem. Wiedzieliśmy już teraz jak się potoczą dalsze losy Polski. Usunęli Go dlatego, bo nie chcieli wywiązać się z przyrzeczeń danych Mu. Zamach się udał, jak mówiono ogólnie był to trzeci, wreszcie udany. Dlaczego pilot miał na sobie kombinezon ochronny przed zatonięciem? Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się nieco później, gdy przyszły układy jałtańskie. Wtej chwili inż. Klukin zatrzymał się nieco przy mnie, zaczął mnie wypytywać o moje rodzinne sprawy. Przedstawiwszy się uprzednio i nawet ucałowszy moją niezbyt czystą rękę. Opowiadałam o mężu całkiem szczerze, o uwięzieniu go przez NKWD we Iwowie, o Buchta-Nachotce i pracy tam ponad siły, o wycienczeniu, pelagrze jako następstwie tej katorgi, powołaniu do Polskiej Armii na południu i na tym koniec, bo bo ostatnia wiadomość ze szpitala. Nie wiadomo co się z nim stało, zniszczyło go to że siedział tyle miesięcy - 22-wa, prawie 2-wa lata. Na to Klukin odezwał się "Ja tożę sedit" i pocałowawszy mnie w rękę odszedł. Wiedziałam, że Klukin interesował się śliczną śliczną Poleczką, która często mi towarzyszyła w pływaniu, kiedyto po oddaniu dzagana i łomu skakałam sobie do zatoczki irtyszowej, aby spłukać pył i pot a także odświeżyć się. Przychodził tam i zatroskanym okiem śledził nasze igraszki, może liczył na to, że będę mogła coś mu opowiedzieć na jej temat. Niestety Marysię poznałam dopiero w czasie podróży do Ust-Kamienogorska, a że była urocza przyłgnęłam do niej połączyła nas chęć pływania. Okres pracy trwał 6 tygodni, przerwano mnie z jednej na drugą, Marysia zachowała ładne rączki, bo też pracowała w biurze. Inż. Klukin ciągle kręcił się koło niej, ale często i ja byłam zapraszana do tego towarzystwa, dziwił się

że ja nie umiałam czytać po rosyjsku. Przecież nie powinnam nienawidzić i potępiać tego co rosyjskie, bo naród to nie "prawitelstwo" ale on mnie rozumiey mówił dalej, że zna całą trylogię Sienkiewicza. Czytał ją jako młodzieniec po raz pierwszy: był człowiekiem ciekawym i towarzyskim, dobrze ułożonym. stanu wolego. Marysia przyjmowała jego adorację spokojnie, ale na tym się kończyło. Kilkakrotnie mieliśmy okazję widzieć aktorów, którzy przyjeżdżali aby nas zabawić, ale niestety ja niewiele rozumiałam z tych skeczów a przeważnie towarzyszyła im bezka piwa, ta miała większe powodzenie. Przyznam się, że i ja rozsmakowałam się w nim i nie omijałam takiej sposobności.

Także filmowano nas przy pracy, chyba chodziło im oto aby sfilmować Polki które pracowały w kapeluszach. Kapelusze te były nam potrzebne bo słońce silnie operowało. Z tym zmartwieniem przyszła do mnie Stasia, która choć nie pracowała fizycznie, ale na wolnym powietrzu; poradziłam jej by postarała się o drut i szerokie banderze to ja je uszyję, i pewnego dnia wszystkie Polki się zjawiły w dużych białych kapeluszach, ścigane wzrokiem zawistnych Rosjanek i uwagami: "Polaczki eto chitryj narod, wydumały siebia kakij to szlapy, piered sońcem". No musiałyśmy się bronić, aby zachować coś z naszej urody na przyszłość. Nie wiem jak to się stało, że zostałam zaproszona na przyjęcie do kazachskiego domu, podawano rosół z mięsem który palcami/poprzednio splukanymi wodą/rozdzielał gospodarz, naprzód podając mężczyznom a na końcu kobietom. Tam usłyszałam "szaju niet" - "bas aurat" herbgyt niema głowa boli.

Zapytałam dlaczego miejsce gdzie budują tamę nazywa się Abłakiekką. Opowiedzieli mi że właśnie w tym miejscu utopił się mały Kazch, który nazywał się Abła - a słowo "kiet" znaczy odszedł. Także używa się tego wyrażenia w znaczeniu "uciekaj" a w gniewie "wynoś się".



Mijało już 6 tygodni pracy bez wypoczynku, zarobiłyśmy 65 rubli, bo nas żywiono, dając 1kg chleba, 1 obiad, zaś śniadania i kolacje same gotowałyśmy kupując ziewniaki i makuch zamiast tłuszczu. ~~Nadru~~ Na drugi dzień miałyśmy odpływać, ale do naszego baraku wpadły Rosjanki, było ich cztery z płaczem, że nie chcą im zwrócić "udostowierenia" i zatrzymują je na "postojalne życie" i to samo spotkało kilka Polek, myślę że chodziło o Łapówkę, bo jakoś to te Polki załatwiły.

Na zakończenie dodam, że spotkałam w Semipałatyńsku już chyba po roku panie z którymi wdając się w rozmowę dowiedziałam się że pochodzą z Ust-Kamienogorska. Zapytałam o inż. Klukina i tamę na Irtyszu - odpowiedziały że Klukina i kilku ludzi pilnujących pracę tzw. dziesiętników rozstrzelano - bo zamę zniosło.

### VIII. Z powrotem w Semipałatyńsku

Wracałam więc do Semipałatyńska w zupełnie innej formie, chyba przytyłam, byłam nieco silniejsza i pogodna, gdy weszłam do domu pani Hanka powitała mnie z radością, pokazując mi paczkę która nadeszła z Palestyny od mojego męża. Wszystkie obecne w domu zdziwiły się, że tak wspaniale wyglądam, spodziewały się bowiem, że ujrzą szkielet. No cóż paczka przyszła - to cudownie, to znaczy że Tolu żyje i mam jego adres, ale co może w tym woreczku się znajdować? Rozprułam i oczom naszym przedstawił się smutny widok, - wśród ziaren ryżu pętały się szczątki połamanych papierosów i dla osłody rodzynek. No cóż dobre i to, na szczęście nie byłam palaczem, ale pani Hanka która paliła, smutno kiwała głową, oddzielaliśmy tytoń od ryżu i rodzynek, które trzeba było płukać i suszyć. Teraz już mogłam przyjmować gości podając ryż z rodzynekami. zaprosiłam ks. Fedorowicza na tą ucztę, równocześnie wypowiadając życzenie, że każdą następną przesyłkę będziemy tak obchodzić. Rzeczywiście paczki nadchodziły ku zmartwieniu p. Krzyworączkowej która zauważyła że "jedni zginęli w Katyniu, a inni bawią się za granicą".

Ale na terenie naszej spółdzielni pozostałam już "czarnoroboczą". Z kolei wysłano mnie na "lesozagotówkę", bo oni potrzebują opału na zimę, a przecież ja też potrzebuję, to sobie przywiozę, dostanę jeszcze walonki, a opał dostarczą mi do domu, nawet dostałam to na piśmie. Jeszcze nie poznałam tego zawodu, nie wiem jak trzeba ścinać drzewo aby upadając nie zabiło, lubię las, ale jak będę w nim mieszkać? Z rozmowy z zastępczynią dyrektora, dowiaduję się, że mieszka się w ziemiance, śpi na narach, i że są tam pszczy. No jeśli ona nie robi z tego tajemnicy, to to będzie chyba najgorsze. Wyjeżdża podwoda na niej 2 kuskie baby i ja,



Jedziemy do lasu odległego o 25 km. Przyjechałyśmy pod wieczór, z głębi lasu wyłania się ziemianka olbrzymia jak mi się widzi zupełnie zajęta. Wrócili z pracy, kobiety i mężczyźni, posilają się i kładą spać, jeszcze w takim towarzystwie nie przebywałam, Moje towarzyski układają się na środkowej obszernej półce, na której już ktoś spoczywa, mówią mi "łóż się woźli nas". Strasznie niewygodnie, , półka z okrągłych gałęzi, wprawdzie była zarzucona gałęziami z igliwem, ale gdy to było świeże może zabezpieczało przed ugniataniem tych okrągłaków, lecz w tej chwili to łożo tortur. Ciszę wieczorną przerywają chichoty, gzy i chrapanie. Już-Już zdawało mi się, że usnę wreszcie, ale coś szarpie mi kołdrę, ciągnie gnie za nogi, przeklina. Pytam mojej sąsiadki co się dzieje? Straszny kazyk oczywiście po resku: To moje miejsce, czemuś tam wlaźła ty przekłeta Polaczka" itd. Zeszłam z półki położyłam się ~~na~~ pod nią, teraz zaczęła się inwazja pcheł, albowiem wszelkie insekty mnie kochają. Noc była strasna i nie dowiedziałam się dlaczego mnie stamtąd gdzieś było wolne miejsce jak upewniały mnie moje towarzyski, w nocy wyrzucono - w tak zapchlony piasek. Rano podeszłyśmy po miskę i zupę a także chleb, potem topór i piłę, wskazano nam stanowiska i stanęłam do pracy z tymi babami które ze mną przyjechały. one mnie uczyły podcinania i uciekania w ~~ła~~ właściwą stronę, gdy sosna podała, potem trzeba było oczyścić drzewa z gałęzi, pociąć do odpowiedniej długości złożyć w sągi Wróciłam na obiad, znalazłam Polki i postanowiłam wyprowadzić się z ziemianki, położyłyśmy się pod drzewami w lasku i tak wtulone jak jedna o drugą zasypiałyśmy, aby na następny dzień podjąć dalszą "ośkę". Dlaczego i tu pchły mi dokuczają? Zdjęłam z siebie sweter, który był koloru popielatego i zobaczyłam na jego tle brunatne ~~brzmazki~~ błyszczące brzuszki wbite w tkaninę, było ich chyba dziesiątki. Co się dało usunęłam, zaczekałam na dzień wolny od pracy, gdy prócz kucharki, wszystko opuściło pracę, do miski w której jadłam zupę nabrałam wody i tak kawałek po kawałeczku chusteczkami

czką obmywałam to skąsane ciało. Gdy wróciły moje towarzyszki zmieniłyśmy miejsce spania, między świerczkami nieco zaciemnione i byłoby tam lepiej gdyby nie ukradziono mi chleba /całą rycję tygodniową/ i ręcznik. Właściwie jako odżywianie - pozostała mi tylko zupa. to było zamało. Traciłam z dnia na dzień siły ale powrót się zbliżał. Byłam tak wściekła na tę kucharkę, której psim obowiązkiem było pilnować abna tłumaczyła się, że tylko to co w ziemiance - to do jej obowiązków należy, "z tymi milionami pcheł, pilnuj i to dobrze" - odpowiedziałam i postanowiłam w drodze rewanżu za ukradzione rzeczy i doprowadzenia mnie do takiego wycieńczenia coś ukraść,,zabrałam miskę i piłę. Udało mi się to ukryć i przewieść.

Już był październik, noce z przywrozkami gdy wróciłam w domowe pielesze, spodziewając się że te zarobiune 4 m<sup>3</sup> drzewa będą miała na opał. Gdy zjawiłam się w biurze z zapytaniem kiedy mogę oczekiwać <sup>o na</sup> tak mi potrzebnego drzewa odpowiedzieli: "no dobrze przywieźcie sobie z lasu , my maszynyn nie mamy". Ta sprawa już ~~xxxxxDawajcie xwałenkixxx~~ załatwoina ,teraz walonki - " są ale męskie."

- Dawajcie męskie.

przynieśli ale powalane terem, wzięłam; myśleli się rozmyślę, nawet gdybym miała je wyrzucić - wezmę. Poprzysięgłam im zemstę,, Łotry, eksploatowali mnie całe lato, poniewierali nieludzko a teraz oszukują -szbrawcy.

Zaczełam się radzić ks. Fedorowicza, spradził mi abym się zapisała na kurs szoferski - kosztuje sporo, bo 600 rubli ale uwolnię się od nich. Onie poszło to łatwo. Mówili że to zwolnienie może dać " predsdatel gosowietu" czy coś podobnego. Poszłam do partii, oświadczyłam , że chcę wstąpić do polskiej armii i dlatego zapisuję się na kurs szoferski - wczym mnie przeszkadza zarząd spółdzielni, bo nie chcą mnie zwolnić z pracy. Usłyszałam , że powinni zwolnić, ale żadnego pisma mi nie dali, natomiast usłyszałam, że mam się stawić w"Gorsowiecie ", poszłam, oczywiście był już tam dyrektor spółdzielni, no i ten od którego zależało to moje zwol-



nienie i usłyszałam:

- Da możecie postąpić na ety kursa, no po nich budżietni u nas rabotać szofierom.  
ja na to

- A wy minia ety kursa płatitie?

Jeden popatrzył na drugiego i dali pieczętkę zwalniającą mnie od tej katorgi.

Był to kurs zawodowy, zapewniał kartkę chlebową i ptawdę powiekszi: dziawszy ciekawił mnie. Bałam się, że po wypełnieniu ankiety w której musiałam napisać że przeszłam więzienie sowieckie nie pozwolą mi uczęszczać, ale to mi wcale nie przeszkodziło. Ukończyłam ten kurs z wynikiem dobrym, z tym że do półroku miałam jeszcze przejść praktykę i zdawać na prawo jazdy, To już było natrudniejsze, bo wszelkie pertraktacje z szoferem, który mógł przyjąć praktykanta, zawsze kończyły się propozycją małżeńską, a więc na tym się utywało. Ciągle pamiętałam rozmowę, którą przeprowadziła ze mną kobieta egzaminująca mnie przy adawaniu na tak zwaną "stżorkę" czyli praktykę, była to lejtnat milicji, bda<sup>m</sup> zdawaliśmy ten egzamin na kierowców pojazdów. Pytała mnie dlaczego sobie ten zawód obrałam - odpowiedziałam, że chcę lepiej żyć, przecież mówiłam że dostają lepsze pensje, należą im się dwie porcje obiadu i widzę, że lepiej żyją; wtedy wyjaśniła mi:

- Ani kradut, potomu im łutsze żyć.

Kurs się skonczył odzyskałam wolność, ale już nie miałm kartki chlebowej. Okazało się że na czarnym rynku można było je kupić. Na razie robiłam swetry, sprzedawałam je i jakoś żyłam. Wreszcie pożegnałam panią Hankę i przeniosłam się na ulicę Gercena gdzie zamieszkałam z panią Mercową. Teraz już zapisałam się na kurs imedyczny /półroczny/ wieczorowy /"bez odrywu ot raboty"/ a więc kartki chlebowej nie będzie.. Tam powinna byłam dawno się znaleźć. Prowadzony był wysmienicie przez lekarke żydówkę, która przyjeżdżała tu z Odessy. Miła, wśrednim wieku, inteligentna, doskonale wykładająca i nieprtyjna, kiedyś w rozmowie powiedziała mi: "Był

taki czas że chciałam wstąpić do partii - wtedy mnie nie chcieli, a teraz ja nie chcę", Kurs ten skończyłam z wyróżnieniem a jako nagrodę miałam otrzymać książkę mądyczną, podręcznik z którego uczyliśmy się, jednak nie otrzymałam bo zabrakło. "Udostowierzenie /świadczenie ukończenia kursu/otrzymał<sup>am</sup>śmy razem z książeczką wojskową przez "Wojennyj Stoł". Było to właściwie powołanie do wojska i kilka żydówek które podały na-rodowość żyd-owską w "udostowierzeniu" bojąc się <sup>że mnie</sup> nie zostałyby wysłane do Armii Kościuszkowskiej ale na front japoński nie zgłosiło się po to świadectwo. Gdy stanęłam nago przed komisją wojskową, Rozweseliło mnie za-  
pytanie lekarki członka tejże komisji:

- Breiennaja ili niet?

odpowiedziałam:

- Od kuda, muza niet.

a ona na to:

- Niżzeli tolko muž do towo nužen? -ot co kraj to obyczaj. Bronócąc się przed ~~grypką~~ na front zwróciłam uwagę na mój wrok mówiąc:

- U minia płochoje źrenie.

lekarka odpowiedziała:

- Nogi i ruki jst na front można iti. Tak więc znalazłam się w szpitalu dziecięcym i do tego zakaźnym, bo tam zawsze był brak sióstr ze względu na niebezpieczny charakter pracy- licząc że stąd już na front mnie nie wyślą.

Była i chwila radości, bo otrzymałam fotografię Tolusia która szła okrągły rok wysłana przez Księżostkę męża z Krakowa przekazana przez Czerwony Krzyż szwajcarski. Niby był taki sam gdy go opuszczałam, nawet miał to samo ubranko, które mu uszyłam z podarowanego munduru woskowego przez brata Marcina, gdy po wkroczeniu Sowieców do Lwowa nie można było kupić a nasze mienie nadane w Gnieźnie do Lwowa nie doszło. Ubranko było to samo, było szyte na wzrost, ale spojrzenie było inne, czy on mnie pozna gdy się spotkamy?

Próżnię która powstała po wymarszu Armii gen Andersa, po zerwaniu stosunków z Rządem Polskim na emigracji i wyaresztowaniu



pracowników Delegatur Polskich na skutek sprawy katyńskiej wypełnił już zresztą od dawna przygotowywany w Moskwie Związek Patriotów polskich z wadą Wasilewską na czele, Drobnerem i innymi komunistami, powstawała armia Kościuszki pod dowództwem ren. Berlinga, który wprawdzie przedtem znalazł się w armii Andersa ale wycofał się aby później tworzyć drugą armię, Zapewne byłoby to już dawno ukartowane przez Stalina, a to że teraz powstała nowa armia polska w ZSRR składająca się z amnestionowanych Polaków wskazuje jak przebiegała poprzednia amnestia: zwalniano na ogół prawie tylko tych, którzy byli tak achorowani jak słabi a więc nie nadający się do eksploatacji, zatrzymując silniejszych aby ich wykorzystać do ostateczności, a były nawet rejony gdzie rozporządzenie o amnestii nie docierało - dopiero teraz zaczęto zwalniać, bo to miała już być inna armia owiana komunistycznym duchem pod komendą rosyjską i czujnym okiem "politruków".

Związek Patriotów Polskich położył rękę na wszystkim co stanowiło majątek dawnych Delegatur Rządu Polskiego na emigracji - i zaczął działać, ratując polskie rodziny darami amerykańskimi, które pozostały i które napływały ciągle, choć niektórzy niektórzy rodacy jak p. Sonnefeld były ~~radcą~~ radcą z Katowic obecnie zaś radca prawny "Masłopromu"/na ogół tam Polacy masła nie widzieli/ ale zapewne temu panu go nie brakowało/ na zebraniu Patriotów Polskich a miało to miejsce przed ewakuacją Polaków do Polski Ludowej powiedział, że żadnemu z zesłanych rodaków nie należy się powrót do Polski ze względu na ich przekonania polityczne, nie mniej ratowano ich choć ja nigdy nie byłam brana pod uwagę, a garderoba moja była w opłakanym stanie ale nie głodowałam - bo mąż nadsyłał mi paczki żywnościowe i to mnie ratowało.

Otwarto szkołę polską, można było sprowadzić sobie książki polskie z Moskwy, ale na zamówienie przysłano mi tylko słowniki: polsko-ruski i rusko-polski, a z poezji "Pana Tadeusza" Mickie-

wicza i "wybrane wiersze" Tuwima. Związek Patriotów Polskich przyjął nazwę ambasady polskiej i nawet udało mu się zorganizować występy teatralne w budynku miejscowego teatru. Odbyło się tylko jedno przedstawienie albowiem miejscowa elita obraziła się słysząc nasze wybuchy śmiechu, gdy już po udanej "Balladynie" zresztą wykonanej doskonale przez córkę najgorliwszego patrioty polskiego p. Sonnenfelda, na scenę wypłynął skecz pt. "Ciocia z Kachstanu powraca do kraju". Była to bardzo udana satyra otwierająca nam oczy na zaśmieconą naszą mowę naleciałościami regionalnymi i tutaj pozwolę sobie ddtworzyć to co jeszcze dziś widzę i pamiętam. Na scenie pokój ze stolikiem, krzesełkami i kanapką, przystole siedzi dziewczątka ubrane elegancko. Naraz otwierają się drzwi, wchodzi niemłoda kobieta w kufajce, walonkach i chusteczce na głowie panienska, jest zaskoczona nie poznaje przybyłej choć może i oczekiwała przyjazdu cioci, ale zaprasza. Ciocia z krzykiem: "dzieteczka jak ty urosła, a gdzie to mameczka? Ja przyjechała do was, ja ja ustała pozwolisz usiąść na dywaneczki - dziewczę chwyta ciocię pod rękę obawiając się że usiądzie na dywanie, prowadzi ją do kanapki, ale ciocia trzymając w ręku worek, uśmiechnięta i szczęśliwa że wreszcie jest wśród swoich przypomina sobie, że przecież nie przyjechała z próżnymi rękoma, woła: "ja wam przywiezła kazachskie czaszeczki i ruskie duchy" - sięga poto do worka a dziewczę przerażone chowa się pod stół. W tym właśnie dowcip i owa smutna satyra i zbieżność słów w języku rosyjskim i polskim, bowiem dywaneczek to po rusku-kanapa, ustała-zmęczona, czaszeczka po rusku-miseczka a duchy-perfумы. To właśnie wywołało u nas huraganowy śmiech a zaproszeni miejscowi dygnitarze zobaczyli tylko nędznie ubraną kobietę przybyłą z Sybiru i elegancką panienkę, która nie wiedziała jak ją przyjąć i na tym jak już wspomniałam zakończyły się występy naszego teatru.

Zaczynam więc pracę w szpitalu. od razu kierują mnie na oddział tyfusowy, największy w tym szpitalu, Przyjmuje się dzieci do lat 12-tu. Skierowanie tylko określa "lichoriadeczne zostojanie



czyli stan gorączkowy może to być tyfus brzuszny, albo plamisty a także powrotny, nie lękam się tych chorób choć są groźne, ale czuję że znalazłam się tam, gdzie powinna byłam dawno się znaleźć. Praca pielęgniarki zawsze mnie pociągała, już od 12 roku życia robiłam mojemu Ojcu zastrzyki z insuliny, banki nauczyłam się stawiać na własnym udzie, bandażować nauczono mnie w harcerstwie a pragnienie niesienia pomocy drugim, było moim nakazem.

W międzyczasie zmieniłam mieszkanie. bardzo szczęśliwie, bo ostatnio musiałam się zgodzić na życzenia mojej gospodyni do zamieszkania wspólnego z rosyjską Żydówką - agronomką, która tam poprzednio mieszkała i po skończonej pracy na plantacji chciała zamieszkać w mieście. Na razie nie miałam innego wyjścia i zgodziłam się choć nie wydała mi się sympatyczna, miała miłą córeczkę Katię, która ciągle zadawała mi mnóstwo pytań, - interesował ją mój obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który wisiał nad moim łóżkiem. Matka słuchając moich wyjaśnień zastrzegła sobie abym przestała pouczać Katię bo przyjdzie czas gdy szkoła jej wszystko wytłumaczy. Stosunki się między nami psuły i na jej prośbę gospodyni wy mówiła mi mieszkanie.

Nie mogło mnie spotkać nic lepszego bowiem zaproponowano mi bardzo ładne i ciepłe mieszkanie z p. Ireną Bajkowską, z tym zastrzeżeniem że pod nieobecność gospodyni napalając w piecu maszę dopiero po wypaleniu go zamknąć tj. zasunąć szuber, gdyż już p. Bajkowska uległa zaccadzeniu i ona tego zawsze się boi.

Gospodyni była miła, dobra i życzliwa mimo tragicznych przeżyć pogodna i ~~ona~~ to ona właśnie wybrała mi i doradziła pracę w szpitalu dziecięcym i do tego zakaźnym, skąd nie ruszą mnie na front. Oddział tyfusowy mieścił się na piętrze. Główny szpitala był nowoczesny o jasnych szerokich korytarzach i dwuosobowych salkach, jedna tylko sala na całym oddziale była pięciołożkowa. Dyżur w szpitalu rosyjskim trwa całą dobę, tak dla lekarza jak siostry i salkowej / niani / i tylko lekarzowi wolno położyć się na cztery godziny na dzień myśny nieefektywnie siebie z salony rodzimy, ~~deśdix młex by box nax xox~~ dziele ciężko chorych. Po kolacji salkowa szła spać ~~o d p k x x x x x x x x~~

i tylko lekarzowi wolno położyć się na cztery godziny, ale myśmy nieoficjalnie z salową sobie radziły. Po kolacji salowa szła spać, o 24<sup>00</sup> budziłam ją, zaczynała sprzątać cały oddział i uważać na cięższej chorych, aby na czas powiadomić pielęgniarkę, którą na spokojnym dyżurze budziła o piątej i ta zaczynała swój onchód od mierzenia temperatur. Było to wtedy gdy nie było unierających.

Pamiętam doskonale mój pierwszy dzień dyżuru. Wprowadziła mnie starsza siostra, oprowadziła po całym oddziale przedstawiła nianię /salową/ a teraz oczekiwałam lekarza - siedząc w pokoju dyżurnym. Do pokoju weszła bardzo wiekowa niewiasta, niosąc w ręku czysty chałat lekarski pozdrowiła mnie i zapytała o stan liczebny chorych. Zdziwiło mnie to zapytanie, bo nie podejrzewałam że mam do czynienia z lekarzem, jej wygląd na to nie wskazywał. Jednak gdy włożyła na siebie ten fartuch, wyciągnęła wieczne pióro i zasiadła przy lekarskim stoliku - zrozumiałam kogo mam przed sobą. Jak okazało się była seniorką lekarzy rosyjskich, wykształcenie medyczne zdobyła w Genewie. Pochodziła z rosyjskiej arystokracji, stryj jej był wówczas ambasadorem rosyjskim w Genewie i to jej ułatwiło studia. W czasie rewolucji lekarzy na ogół nie zabijano, wyszła za mąż za felczera może i to ją uchroniło. Stosunek jej do mnie był nacechowany wielką życzliwością, nazwisko jej brzmiało dr. Tymczuk. Ona to powiedziała mi pewnego razu: "/u nas prawda tolko w zagławiu "/ u nas prawda tylko w tytule. gdy miała w zadadrze jakiś dobry kawał polityczny naprzód upewniła się czy w pobliżu niema salowej i wtedy dzieliła się ze mną, zaśmiewając się szczerze. Druga lekarka pełna uroku - raz mi powiedziała że w żyłach jej płanie krew tatarska, też była doskonałą lekarką, ale do mnie odnosiła się z pewną rezerwą, ale też z uznaniem dla mojej pracy. Nie wiem czy to było zarządzenie odgórne, czy też lekarki chciały mnie bliżej poznać, kilkakrotnie zapraszały mnie wieczorem do swojego pokoju dyżurnego, który znajdował się na oddziale dyfteryto-



wym na rozmowę. Już mówiło się że Polacy wrócą do kraju. Lekarki starały się mnie przekonać że skoro jestem ze Iwowa, "a Iwow ciepło nasz tak ostanie u nas". Kiedyś po kolacji zaprosiła mnie lekarka Gudoczkińska i w czasie rozmowy zaczęła wychwalać Związek Radziecki mówiąc ile to on zrobił <sup>dla</sup> kraju - zbudował linię transyberyjską, linię południową do Arys, zbudował Biały Kanał, rozwinął przemysł itd., przy rozmowie tej była siostra z oddziału dyfterytowego - Polka /na moje szczęście/. Słuchając tego nerwowo nie wytrzymałam i spytałam czyim potem i krwią ~~taxatixdekenska~~ i życiem to się dokonano? Wicia natychmiast znikła, aby nie być ewentualnym świadkiem oskarżenia, a ja dalej ciągnęłam:

- A jeżeliby tak, zmienił się rząd /prawitelstwo/ i wasz mąż jako major musiałby odpowiadać za tę nieludzką pracę, czy to by was zachwyciło?

Nic nie odpowiedziała - i okazała się porządnym człowiekiem, bo nie donosiła do N.K.W.D. Wtedy by już nie było amnestii i gdzieś tam bym zginęła w jakimś obozie. Jak była dobrym lekarzem miałam to niebawem zobaczyć, któregoś wieczoru zauważyłam że chłopaczek może 4 letni, leży nie bardzo przytomny i wymiotuje, zajrzałam do wyniku analizy moczu i nie znalazłam tam białka, ale jego zachowanie wskazywało na to, że mogą to być początki uremii; poszłam z tym do niej, na razie jeszcze nie było konwulsji, które zawsze się pojawiają przed zejściem, ale i one nastąpiły. Lekarka zajrzała do historii choroby, zauważyła że matka pracuje w N.K.W.D. i z całą energią przystąpiła do zabiegów, zalecając mi podawać domięśniowo Pantopon, do 24-tej siedziała przy nim, a ja co godzinę musiałam powtarzać zastrzyk. Niestety naszynka elektryczna się przepaliła, kuchnia szpitalna nie była czynna, nie miałam możliwości wygotować strzykawki i igły, wyszukała więc w apteczce lekarstwo zrobione na spirytusie i zleciła mi przemywać strzykawkę z igłą tym lekarstwem, a sama udała się na spoczynek. Dziecko żyło, wstrząsane całą noc konwulsjami, Siedziałam nad nim

a widok był wstrząsający. Tak zaczął się świt, wtedy usłyszałam chrzest, ale ciągle jeszcze oddychał. Nadeszła lekarka i z daleka zapytała:

- "Żyw?"

odpowiedziałam:

- Da żyw.

- "No cztosz naczoł sia atioł lokkich, postawcie jeszcze baneczki."

Już była siódma, bo dyżur obejmowała nowa siostra, ale ona chciała abym ja to zrobiła. Położyłam chłopca na boku i zaczęłam stawiać banki. Przdśmiertne rżężenie ustawało przechodząc w normalny oddech, a więc dziecko było uratowane. Potem jeszcze długo było nieprzytomne, tak że musiano zaciągnąć <sup>sialke</sup> w kółeczku u góry. Darł wszystko na sobie i był nieprzytomny. Jak mi mówiono były to skutki skutki uremii- zatrucia mózgu przez mocz, ale mały wracał powoli do zdrowia, co było dla nas wielkim sukcesem i radością. Natomiast matka uwiadomiona o tym że chłopak żyje miała powiedzieć:

- Poczomu wy jowo spaśli, u minia i tak niewo kuszat.

Nie chciane dziecko powracało do zdrowia, ale skarżyła się na ból w udzie spowodowany ropniakiem. Gudoczkiną przeprowadziła zrzeczenie operację znów przy mnie / choć chirurgiem nie była/, jednym słowem zakaziłam to udo dając mu zastrzyki nie wygotowaną strzykawką, ale życie uratowałam.

Nadszedł Nowy Rok, jaki będzie dla mnie? Tak rozmyślając szłam na dyżur szpitalny. Zaczynał się rok 1946, czy wreszcie zobaczę ~~XX~~ Tolusia? Pierwsza złożyła mi życzenia moja salowa Jewdokijsa Iwanowna - serdeczne życzenia powrotu do Ojczyzny i zaczął się zwyczajny dyżur. Pamiętam, że ciągle napływali do nas "krasnoarmijskie armiejcy" i prócz Rosjan i Tadżyków i Kazachów mieliśmy także jednego Estończyka, który <sup>e</sup> rzeczywiście typem urody odbiegał od tamtych tych. Z nim właśnie działo się coś dziwnego owego dnia, Salowa woła



mnie aby coś zrobić bo: "Estoniec přímo leżet na scienku". Musiał mieć jakieś halucynacje, oczy niezbyt przytomne, stał na łóżku i ~~idra~~<sup>drapał</sup> się pościanie. Trzeba było położyć go do łóżka, a salowa bała się go ściągać, więc ja zrzuciłam walonki, weszłam na łóżko, objęłam za szyję i całkiem spokojnie ułożyłam do snu. Był to jedyny przypadek tego rodzaju. Muszę dodać że już od kilku miesięcy przywożono nam żołnierzy chorych na tyfusi dezenterię, a nawet świnkę <sup>soberę</sup>. Było z nimi wiele kłopotu, przykrości, i tak ja przeżyłam ~~przyjętu~~ <sup>przyjętu</sup> szlak spijając zresztą to co naważyła moja poprzedniczka /dyżurna/ bowiem odgrażali się że rozbiją mi głowę jeśli nie otrzymają tego do jedzenia, - co im się należy. Z tym zwróciłam się do kierowniczki szpitala z prośbą o zwolnienie, motywując swoje stanowisko tym że przyjełam pracę w szpitalu dziecięcym a nie dla dorosłych. Ostatecznie przeproszono mnie z przyrzeczeniem że więcej to się nie powtórzy.

Nareszcie żołnierze zaczęli opuszczać nasz szpital, ale znowu pojawił się dawny pacjent z sierocińca: Szurka Hoffman. Skierowano go do nas z rozpoznaniem "stan gorączkowy". często kierowano do nas dzieci z takim rozpoznaniem. Szurkę i braciszka jego Andrzeja spotkałam na oddziale odrowym gdzie krótko pracowałam. Wówczas starszy ~~strzeży~~ Szurka opiekował się z wielką czułością Andrzejem, ~~aprzeby-~~ wali w sierocincu bo matkę wzięli do więzienia za kradzież kilku garści jęczmienia dla zgotowania posiłku dzieciom / to wszystko mi powiedział Szurka/. Zapewne zostali tutaj zesłani z nad Wołgi ~~gdzie~~ <sup>gdzie</sup> znajdowały się niemieckie kolonie. Pierwsze słowa Szurki były ~~gdymnie~~ zobaczył: Czy tu znajduje się jego braciszek Andrzej, bo go zabrali do szpitala. Przeprowadziłam wywiad, ale u nas Andrzeja nie znalazłam. Chłopiec spał się po naszym oddziale, gorączki nie miał, nie wypisywano go ale rozpoczęły się jakieś dziwne konszachty sióstr z ~~fosjankami~~ <sup>fosjankami</sup> które przychodziły oglądać ślicznego chłopca. Zdaje się że chodziło o adopcję. Tymczasem chłopiec musiał się na oddziale zakazić tyfusem, a przyszedł on w zjadliwej formie z objawami zapalenia opon mózgowych, dziecko straciło mowę, mocz jego miał kolor czarnej kawy i przy temperaturze 40°C ciało było wygięte w łuk z odrzuconą do tyłu głową, ale uratowaliśmy go. Gdy odzyskał mowę



wciąż pytał o braciśzka. Dyżurne siostry Rosjanki upewniały go że brat nie żyje, a kontakty z Rosjankami które chciały go zabrać ze szpitala nie ustawały. Któregoś dnia wracając z dyżuru spotkałam idące parami dzieci z sierocinca pod opieką przedszkolanki naszej Żydówki i zapytałam o Andrzeja Hoffmana. Pokazała mi go. Zapytałam o daczego był w szpitalu : bo miał odmrożone nogi ale teraz jest zupełnie zdrów . Gdy wróciłam na dyżur opowiedziałam to dr Tymczuk mówiąc, że matka tych chłopców skazana na rok więzienia przecież wnet wyjdzie na wolność, a to już mają ochotę to dziecko usynowić, Trzeba go jak-najprędzej wypisać aby połączył się z bratem i w sierocińcu oczekiwali powrotu matki.

Niebawem trafił do nas 9-letni Czeczeniec, też śliczny chłopak brunecik o błękitnych oczach, z rozpoznaniem "stan gorączkowy". Gorączka spadła chłopiec snuje się po oddziale i może też chwycić tyfus. Salowa daje mi znać że na dole czeka jakiś człowiek, mówi coś do niej lecz ona go nie rozumie. Schodzę, stoi przede mną człowiek postawny o pięknych błękitnych oczach ale ze złamynymnosem. Rzeczywiście nie bardzo go rozumię, ale nazwisko chłopca się zgadza i prosił mnie głaszcząc po ramieniu, pokazuje pięć palców i mówi: "adin tolk ostalsia". Upewniła<sup>m</sup> go że będziemy chłopca pilnować i odprawiłam go gdyż u nas był niedopuszczalny kontakt z chorymi, apd chłopca dowiedziałam się, ~~bo~~ ten już mówił po rosyjsku, że mieszkali na Kaukazie i gdy pewnego dnia pojechał z ojcem na jarmark a matka z 4-giem rodzeństwa pozostała w domu wszystkich na jarmarku otoczyło N.K.W.D. i wywiozłotutaj, Matkę z dziećmi też zabrali i gdzieś wywieźli i tak od roku szukają się i nie mogą się znaleźć. Chłopiec czuł się całkiem dobrze, nie pojawił się u niego tyfus, więc poprosiłam dr Tymczuk by go wypisała, a/ja wracając z dyżuru odprowadzę go i oddam ojcu. Mieszkali w pełnym brudu baraku, spali na narach /półki jedna nad drugą/ pracowali w farbierni w firmie "Krasnyj Chimik". Gdy Czeczeniec zobaczył chłopca rzucił się z podziękowaniem do mnie, objął mnie i pocałował to w jedno ramię to w drugie, Nigdy nie zapomnę tej chwili radości, która stała się i moim udziałem.



W tymczasie jak wspomniałym mieszkałam jakix u Nadzieźdy Iwanowne Majdaczewskiej. Ona tak ich kochała jak i my, wtedy to prócz panny Sreny Bajkowskiej zamieszkała z nami p. Ewelina Wilkowa. Oórcie jej udało się wyjechać za garnicę, a o mężu aweszutowanym nie miała żadnych wieści. Mieszkałyśmy razem, życie się nam układało, jakoś, pani Ewelina rozweselała nas swoim sarkastycznym dowcipem, ale nieraz też strzelała drzwiami, gdy już po dyżurze nocnym spałam, na ogół było nam ze sobą dobrze.

Mój szpital tak jak i każda instytucja musiał się na zimę zaopatrzyć w siano mając zwierzęta pociągowe: woły/ zwane tu "dykami"/. Do grabienia siana wysyłano siostry i salowe, naturalnie wtedy dyżury ulegały przesunięciu, bo normalnie po każdym dyżurze który trwał 24 godziny miałyśmy 3 doby wolnego - w tym układzie pracowało się co dwie doby, wysyłano mnie na sianokosy a jako towarzyszkę miałam salową Iolę Gołobiecką, żonę podpułkownika, bardzo miłą ale też bardzo leniwą, Kosiarz kosił cały dzień, a gdy miał nakoszone dwie podwoły ładował je, jedna była przeznaczona dla szpitala druga sobie zabierał jako ekwiwalent za koszenie. On kosił, myśmy grabiły, a byki się pasły. Tam przeżyłam burzę piaskową, widać było z daleka jak zbliżały się w Formie olbrzymiego leja od nieba aż do ziemi. Zrobiło się gorąco i świat pociemniał, schroniłyśmy się do "bałaganu", nakryłyśmy głowy kocami ale wiele to nie pomogło. Waliło w nas nie tylko piaskiem ale i kamykami, a piasek wciskał się wszędzie, tak że żywność była stracona, Trwało to może pół godziny i odeszła, nasze byki "Griszka i Miszka pasły się nic sobie nie robiąc z tej nawały i tylko zmieniały ubarwienie na piskowe. Właściwie mój pobyt na sianokosach powinien był się kończyć ale "zawchoz"<sup>X/</sup> orzekła że ja pozostanę, natomiast miła Iola, która zbytnio nie fatygowała się, powiezie do Semipałatyńska siano,.

<sup>X/</sup> "zawchoz" - rzadca, zarządzający kołchozem.

Już były małożone obie fury siana, na przodzie stała fura kosiarza, na furze siedziała jego żona dziecko i on, a zanim gotowym do jazdy wóz z sianem, który ciągnąć miał "Miszka" - nasz szpitalny wóz. Zawchoz zawołała:

- Iola sadisia.

Ale Iola z pewnego rodzaju zażenowaniem odrzekła.

- Ja nikakda na bykach nie jeździła.

Nato zawchoz:

- A ty Gala pojediesz?

Na to tylko czekałam choć i ja nigdy na bykach nie jeździłam. Miałam już spakowany plecak zarzuciłam go na wóz, wsiadłam wzięłam lejce do ręki i zawołałam: "Miszka skorej", wóz pociągnął i dyszel spadł. Zawołałam na kosiarza, który szłał ze swego wozu i zaczął ściągnąć te porwane i sparciałe rzemienie. Ruszyliśmy wreszcie i mój "Miszka" ciągnął za Griszką cierpliwie i bez pośpiechu, a słońce operowało silnie. Nasunęłam chustkę na nos, zamiast bata miałam w ręku gałazkę którą wywijałam - "Miszka skorej" - to mu dodawało animuszu, ale tylko na chwilę i dalej sunął powoli i cierpliwie nie przyspieszając kroku, zaczęła mnie boleć głowa, już minęło południe, a Semipałatyńska jeszcze nie było widać. Gdzieś około czwartej po południu zaczęliśmy dojeżdżać do miasta, teraz zaczęła się kołomyjka. Mieszkałam przy ul. Kalonina i chciałam tam podrzucić moje rzeczy, ale "Miszka" nie chce porzucić "Griszki" i idzie za nim. Musiałam zleść z siana, wziąć wołu za mordę i skrócić na Kalinina. "Miszka ryczy", "Griszka mu odpowiada. No i Tak było na każdym skrzyżowaniu ulic. Pozdrawiali się rykiem a ja musiałam trzymać za jaźmo aby wreszcie podjechać pod swój dom. Wpadłam do domu, Nadieżda przywitała mnie okrzykiem:

- Iico pani Galina wam gorejet.

- Możet u minia tif počucziasia - odpowiedziałam, przecież pracowałam na oddziale tyfusowym, a nie zabezpieczyli mnie zastrzykiem.



Mówię:

- jedu w bolnicu, jeśli nie wiernusia, przychodzicie ku mnie. Teraz dopiero zaczęła się droga przez miasto pełna przygód. Tylko ujechałam kilka kroków spada mój dyszel i to naprzeciw milicji. Wyskakuje jakiś <sup>li</sup>micjant, podbiega i pomaga mi w wiązaniu rzemieni przy dyszlu. Zdaje mi się, że wspaniale osztawiam kołchoźnicę, a ten kończąc wiązanie mówi do mnie:

- Wy w Polszję nawierno nikakda na bykach nie jeździli?

O Boże i teraz się nie skryję. Wlazłam na siano, słońce jeszcze operuje, przejechałam centrum miasta, wjechałam w ulicę, która prowadzi w kierunku Zatonia, skręcam naprawą stroną ulicy a mój "Miszka" na lewo- bo tam jest cień. Widzę naszego Żyda idzie i uśmiecha się pod nosem. poznał mnie, choć chustkę naciągnęłam na nos, nie będę zżazić z fury niech to bydlę idzie sobie lewą stroną. Tak podszedł on aż pod Zaton, górą biegnie tor kolejowy. w tej chwili spada dyszel, złażę z siana i zaczynam drutem wiązać, a tu z góry wali na nas ciężka maszyna 6-cio cylindrowa-Zis. ~~Notuj~~ to już moja śmierć, nie ucieknę bo jak byka mi zabije to mi wlepią najmniej 5 lat - lepiej razem z nim umierać. Stało się jednak inaczej. Szofer skręcił w prawo, rąbnął w węgieł jakiegoś domu, wysiadł z auta "zeszł szlakował mnie i scholerował". Staralam się tego nie słyszeć, miał przecież rację. Najważniejsze, że ani tej chałupie, ani maszynie nic się nie stało, bo za chwilę pojechał dalej, a ja pociągnęłam z moim "Miszką". Przejechałam tor i dalej idąc już piechotą wjechałam w wąską drogę między ogrodami. Tam spotkałam dwóch mężczyzn i usłyszałam znów to samo: "Wy nawierno w Polszję nikakda na bykach nie jeździli". Była to ostatnia uwaga tego rodzaju, bo szpital był już niedaleko. Wjechałam, zdjęłam jarzmo i Miszkę wprowadziłam do stajni, a sama poszłam na mój oddział gdzie właśnie spotkałam dr Tymczuk.

Oświadczyłam ~~jej~~ jej że napowno ma<sup>m</sup> tyfus, ale ona popatrzyła na mnie i powiedziała że to pozazhenie słoneczne i zaraz da mi środek który spowoduje <sup>v</sup>tośje i usunie ból głowy.

- Eto poroszek Dowera - rzekła i podała mi go. Rzeczywiście pomógł natychmiast. a kierowniczką szpital dla wypoczynku dała mi zwolnienie na trzy dni i tak wróciłam do domu.

Raz tylko - za poradą siostry Polki udało mi się ochrzcić umierającą dziewczynkę<sup>v</sup> zupełnej tajemnicy a wogóle na terenie naszego zakł<sup>o</sup>owego szpitala pracowało nas ~~po~~ pięć, a jedna z nas gdy ją zesłano budowała ten szpital a potem po odbyciu kursu medycznego pracowała tam jako siostra, na oddziale dyfterytowym.

Nie wspominałam o ~~a~~ bardzo ważnej sprawie, otóż gdy przygotowywano na milicji pozwolenie na wyjazd z Rosji zaczęły się szykany, może chodziło o łapówki, dość że gdy przedłożyłam moje "Udostowienie" wydane mi po skrzydzeniu mi mojego poprzedniego dokumentu polskiego/jakprzypuszczałam sprzedanego komuś kto się wydostał przy jego pomocy za granicę/ powiedziano mi, że tu nie zaznaczone, że mnie zesłano, a więc napewno dobrowolnie się tu znalazłam i nie dadzą mi pozwolenia na powrót. Niestety musiałam się posłużyć dokumentem wydanym mi w Czimkencie na mocy którego zostałam amnestionowana. Straciłam go więc, choć tak bardzo pragnęłam przywieść go do Polski aby pokazać rodzinie.

Wreszcie pozwolono nam jechać do krzju, ale wszystkich szczepiliśmy przed wyjazdem przeciw tyfusowi a przeprowadzały to siostry Polki na terenie Związku Patriotów Polskich pod kierunkiem dr Wojno.

Tak jak 13 kwietnia 1940 roku wywożono nas ze Iwowa tak i 13-tego kwietnia 1946 roku pozwolono nam wsiadać do pociągu dla powrotu ale nie do Iwowa tylko do Polski.



- Iwów ,kochany Iwów to moja Ojczyzna " to miasto snów", wśród wzgórz ,pełne słońca i zieleni - witające każdego przechodnia uśmiechem i życzliwością. Tam przeżywałam chwile radości w gronie licznej rodziny, tam przeżywałam chwile grozy , - podczas Obrony Iwowa .Niezapomniane wycieczki do Miodowych Grot, albo Cz<sup>a</sup>rtowskiej Skały .Saneczki na Kisielkach lub w Stryjskim Parku albo narty w Sławsku.

Urocze Karpaty z Gorgami i Cz<sup>o</sup>rnohorą - zdobne połoninami obmywaną Czeremoszem Białym i Czarnym, w śród huczących wodospadów i potoków wknających do Prutu, gdzie Howerla codziennie rano zalotnie okrywa swoją szyję różowym woalem, - czy naprawdę nigdy już nie zobaczę tych precudnych stron? Tylko w myślach będę pieścić te obrazy?

- Bardzo nas Bóg ukarał , ale za jakie grzechy?

## IX. Powrót

Wracaliśmy magomami bydlęcymi zaopatrzonymi w nary czyli p<sup>u</sup>łki, ale p<sup>u</sup>dróż trwała aż 6 tygodni, bowiem pociąg nasz nie objęty planem musiał na różnych stacjach przepuszczać pasażerskie pociągi co tym samym opóźniało jego pos<sup>u</sup>kwanie się do celu.

Tym razem jechaliśmy przy otwartych tj. rozsuniętych drzwiach i nie w takim ścisku, a ja tak jak 6 lat temu umieściłam się na najwyższej półce tuż przy okienku, abym mogła oglądać mijaną trasę. Właściwie transportem opiekowała się lekarka polska Żydówka ~~x x~~ / nazwiska nie pamiętam / bardzo sympatyczna, która miała do pomocy 5 pielęgniarek, a wśród nich i mnie, Każda z nas miała przydzieloną pewną ilość wagonów do opieki nad jadącymi i codziennie składała meldunek o ich stanie.

Jechaliśmy na południe, pociąg zatrzymał się w Dziengiestobie i wtedy przypomniało mi się jakoby w tej miejscowości mieszkali Koreanczyki / zesłani / zajmujący się uprawą ryżu i że można tutaj go kupić. Nie wiele się namyślając, postanowiłam to zdobyćzego prawie 6 lat nie widziałam, puściłam się w towarzystwie kilku rodaczek w kierunku bazaru, który było widać e oddali, licząc że uda nam się wrócić nim pociąg ruszy w dalszą drogę. Wracaliśmy zadowolone z kupna, wydałam <sup>u</sup>wszystkie pieniądze, a zdobyty ryż niosłam w torbie zawieszanej na ramieniu. Do stacji brakowało nam może ~~ze 20 metrów~~ 20 metrów ~~nasz~~ pociąg powoli zaczął ruszać, zdjęłam drewniaki ~~z nóg~~ z nóg, byłam w kombinezonie puściłam się pędem i dopadłam ostatniego wagonu chyba służbowego bo był zakończony platformą z poręczą. Wskoczyłam na stopień, ale ciężka torba z ryżem przy tym pędzie podniosła się i swoim ciężarem ściadnęła mnie naszyną. Na szczęście był to ostatni wagon, bo przeciwnym razie skończyłoby się śmiercią lub kalectwem.

Na stacji podniósł się krzyk, dopadli do mnie kolejarze, pod-



niesli mnie ale, widząc że stoję o własnych siłach uspokoili się czyniąc mi tylko zasłużone wamówki. Nadszedł też naczelnik stacji ale ja już stałam w gronie naszych rodaczek i jednego pasażera Żyda, którego wcale przedtem nie widziałam i ten człowiek nas uratował. Naczelnik oświadczył, że teraz będziemy musieli poczekać na nowy transport i wtedy nas puści ale przedtem musimy przejść "samobrobotkę" tj. oczyszczenie ze wszy, Ponieważ odwszalnia jest już nieczynna, więc dopiero jutro rano będzie można to zrobić, wtedy po wykupieniu biletów nas puści. Żadna z nas nie miała pieniędzy i właśnie ten towarzysz ofiarował się zapłacić za nasze bilety, co zaś do "samobrobotki" pokazałam naczelnikowi moją opaskę na ramieniu z czerwonym krzyżem mówiąc że właśnie ja wszystkich "sanobrobotkałam" i niech nam pójdzie na rękę byśmy w kraju mogły wspominać go szczerze. Udobruchał się, pozwolił wykupić bilety i czekać na "pasażerski" który niebawem nadejdzie - tak że złapiecie swój transport. Rzeczywiście złapaliśmy nasz transport i zdobyliśmy naukę na przyszłość by nie oddalać się od naszego transportu i do tego bez dokumentów.

Jeżeliśmy dalej żółwym krokiem na południe, minęliśmy Ałma-Atę potem Gzmkent, widziało się trochę drzew i zieleni, ale dalej na ~~południu~~ południu jakieś zakisłe pola pozbawione roślinności pokryte białym nalotem, były to chyba złoża mineralne jakie spotykało się koło Semipałatyńska, Tak dojechaliśmy do Arys,, tam znowu zoetaliśmy <sup>skierowaliśmy</sup> do łaźni i "sanobrobotki".

W łaźni zaszła szczególna rzecz. Na szczęście jeszcze w swoim uniformie pełniłam opiekę nad kobietami, które weszły do łaźni i zaczęły przygotowywać się do kąpieli, gdy jedna z nich zemdląła. Nie można było jej podać kubka zimnej wody, gdyż wogóle nie mogłam znaleźć kurka z taką wodą, otwierałam różne drzwi w pośpiechu szukając kłanu z zimną wodą bezskutecznie i wpadłam do pomieszczenia

w którym ujrzałam cały transport naszych towarzyszy podróży nagich, każdy z nich trzymał w ręku duży pierścien z zawieszonym nadim ubranie, którym strali zasłonić swoją nagość. Przebiegłam tą salę przepraszając - też zresztą przerażona tą sytuacją, wołając dla usprawiedliwienia że w całej łaźni nie ma zimnej wody dla zemdlonej kobiety i dopiero na podwórzu znalazłam kran i w kubku zaniosłam zemdlonej

Pociąg nasz posuwał się dalej w kierunku północno-zachodnim, Chyba to już był Saratów, pociąg zatrzymał się na wielkiej stacji i cały personel sanitarny wraz z lekarzem został wezwany do punktu sanitarnego dla złożenia meldunku o stanie zdrowia naszych podróżnych. Pani doktor każdą z nas prezentowała lekarce, a mnie dostał się szczególny i wątpliwy komplement poparty czarującym uśmiechem owej lekarki "sowierszenno kak sowieckaja dziewczuszka". Do wagonu wracałam załamana, zrozumiałam że stałam się pięknocią tamtejszą "żyrnaja ženszczyna eto krasota" - piękność sowiecka musi być tłusta. Te warunki podróży, brak konkretnej pracy, a nadewszystko skracanie czasu gryzieniem kruchych ciastek wiszących u sufitu w woreczku w zasięgu ręki, które na swoje nie-szczęście upiekłam na drogę aby nie zginąć i głodu - uczyniły mnie taką, a patrzeć w okno prawie przez cały dzień w wiosennym słońcu dopełniło reszty. Jak ja się teraz pokaże w mojej rodzinie?

Jechaliśmy wciąż na północny zachód omijając większe miasta, ale zaczęłam odczuwać pewien niepokój i swędzenie. Zastanawiałam się gdzie ja "to" mogłam złapać? Wagonu nie opuszczałam, jedynie odwiedzając podróżnych w przydzielonych mi wagonach, ale przecież nie zbliżałam się bez potrzeby. Wiadomo że w tym kraju o to najłatwiej, mimo tych odwyszni i "sanobrabotki". Wreszcie



doszłam do przekonania, że źródłem tego napewno jest rodzina jadąca na dolnej półce pode mną, bo tak ojciec rodziny jak i syn wyrostek - na każdej stacji gdzie można było skorzystać z bufetu wybiegali aby przynieść coś do jedzenia czy picia niemowlęciu, synowi córki, matce jego no i żonie. Wchodząc zaś na moją półkę przesuwalam się koło nich, spało się w tym czasie w tym w czym się chodziło, zajrzałam dyskretnie do mojej bielizny i oczywiście znalazłam, zmieniłam bieliznę ale wiedziałam że to nadarmo, trzeba systematycznie przeszukiwać bieliznę i to cała, tak jak przez tych nieszczęsnych 6 lat to czyniłam udając się na spoczynek.

Na stacji miały nas zaplombowane wagony przypominające nasze z przed 6 lat jadące w odwrotnym kierunku, Gdy przez okienko zawołałam "Kto wy " - odpowiedzieli: Polacy na zsyłkę". Wtedy zapytałam moich towarzyszy do jakiej Polski my wracamy?

Pewnego dnia zobaczyłam lecącego bociana a więc zbliżamy się do Polski. Jak okazało się niebawem pociąg nasz zatrzymał się oczywiście daleko od miasta w pobliżu lasu i chyba jakiś olbrzymich dołów melioracyjnych, na dnie których znajdowała się czysta woda.

Kolejarze zapowiedzieli że znajdujemy się za Kowlem i tutaj nieco dłużej poczekamy bo odbędzie się tu odprawa celna i także wszystkie dokumenty rosyjskie będziemy musieli oddać.

Był to już koniec maja, słońce świeciło, zajrzałam do wagonów, które miałam pod opieką. Zdałam relację lekarce, a teraz postanowiłam skorzystać z tej ślicznej czyściutkiej wody, umyć się i dokonać łowów. Pociąg stał nieco oddalony właściwie żadnej osłony nie było, ale pragnienie umycia się było tak wielkie że przeprowadziłam swój plan, łowy udały się. Ciało osłodziłam się i wracałam do mojego wagonu aby dowiedzieć się, że to nie takie pewne, - czy z życiem dostaniemy się do Polski bo w tych lasach są

banderowcy i musimy sami się pilnować aby nas nie warznięto. W jaki sposób? Przez całą noc trzeba podtrzymywać ogniska - właśnie zniesiona drzewo umieszczając prawie koło każdego wagonu sporą stertę, a my sami musimy zorganizować sobie obronę i wyłonić czujki, które całą noc będą z siekierami w ręce obchodzić wagony aby w porę ostrzec przed napadem.

Czuwaliśmy całą noc paląc ogniska i czekając kiedy wreszcie zostanie dokonana odprawa celna i przekroczymy granicę.

~~Słyszysz że będą odbierać dokumenty sowieckie, postanowi~~

Słyszając o tym że będą odbierać dokumenty sowieckie postanowiłam je ukryć i ukryłam je pod listwami wagonu, ale ciągle bałam się że mogą mi zabrać miedziany dzban który kupiłam w Semipałatyńsku na bazarze. Wpadł mi w oko pewnej niedzieli /bazary odbywały się zawsze w "woskriesienie"/. Bardzo pragnęłam go mieć bowiem wzór zdobiący go jak i data umieszczona na nim także napis wskazywała że był to antyk, a rozporządzenia celne zabraniały przewożenia antyków. Gdy przyniosłam go do domu, /wówczas mieszkałam z tą rosyjską Żydówką/ ona wydeła usta i powiedziała: "Zaczyn ty jewo pokupiła, eto muziealnaja wieszcz". właśnie dlatego kupiłam go choć miał małą dziurkę z boku i śmierdział benzyną, ale patrzyłam na niego jak urzeczona. Prawda była taka, że musiałam sobie odmówić kupienia 3 kg ziemniaków. tyle bowiem kosztowały 100 rbli a pensja moja miesięczna wtedy wynosiła 240 lub 270 rubli zależnie od dyżurów które wypracowałam w miesiącu. Kupiłam, dałam zacynować dziurkę, dobrze go wymyłam, wyparzyłam i postanowiłam go przewieźć jako naczynie z wodą pitną. Natomiast w materacyku miałam cudzą biżuterię: dwie branzoletki złote, bo bardzo mnie oroszono o przewiezienie.

Odprawa celna naszego wagonu odbyła się pod moją nieobecność i jak mi mówiono celnik wysypał zawartość puszczonej z cukrem, potem wziął do ręki materacyk, ale nic podejrzanego w nim nie



znalź. Dzbanę nie tknął, nawet nie zapytał gdzie ja się znajduję i odszedł dalej, a więc dzban ocalał.

Staliśmy tak 3 dni między Kowlem a Jadodzinką czekając na wyjazd, straszeni banderowcami. Mówiono że jeszcze odprawa celna trwa, a w wygonach gdzie jechali przeważnie Żydzi znaleziono wnośćwo złota np. w formie kłódek do kufrów i nawet wmontowane w maszynkach elektrycznych. Nie widziałam - ale powtarzam, nie wykluczone że tak było. bo ofisjalnie nie pracowali ale żyli dostatnio a żony ich czy też przyjaciółki były zadbane i odżywione czego nie można było powiedzieć o Polkach - tak było w Semipałatyńsku.

W czasie postoju odwiedzały nas kobiety z okolicznych wsi, przynosząc nabiał, ale na zamianę - pieniędzy nie chciały. Jedna z nich pytała o nici, miałam właśnie 2 szkulki czarnych nitek i kobieta dała mi 4 jaja i spytała: "Panunciu! a kiedy Polska wierniotsia? Jak miło było usłyszeć coś takiego z ust kobiety wiejskiej i to nie Polki.

Pieszcząc w sercu te usłyszane słowa zabrałam się energicznie do smażenia tych jaj całkiem zapominając że taka kolacja nie może mi wyjść na edrowie. Rzeczywiście zbudziłam się na drugi dzień z temp. 40<sup>0</sup> c, cała obrzękła od kończyn po twarz. Wezwana lekarka od razu zapytała co jadłam na kolację, a gdy się przyznałam że tylko 4-ry jaja, zapytała kiedy ja w ogóle jadłam jaja. O ile pamiętam przez sześć lat zjadłam jedno jajko na jakąś Wielkanoc. A więc jest to zatrucie białkiem. Pamiętam, że jakoś mój organizm sam sobie poradził z tą przypadłością i już na 3ci dzień mieliśmy wyjeżdżać.

Pod wieczór ruszył nasz transport, przejechał Jagodzinkę a w nocy zatrzymał się w Chełmie. Na stacji ciemno, nikt nas nie wita a my w swojej naiwności myślałyśmy że ktoś się nami ucieszy, przemówi serdecznie po polsku - może jakiś kolejarz? w pewnej chwili

usłyszałyśmy męskie głosy, wyjrzałam i zapytałam panowie. tak nas w witacie - nas wracających po 6 latach wygnania. Popatrzył na mnie świecąc latarką w oczy i zapytał - "powiedzcie nam w których wagonach jadą Żydzi". Niestety mój panie jadą rozrzucony wśród katolików. Ruszyliśmy w kierunku Lublina.

Z Lublina wysłałam drugą depeszę, ale już po polsku do siostry męża która wychowywała mojego syna przez 6 lat. Pierwszą wysłałam jeszcze z Semipałatyńska po rosyjsku, do mojej matki mieszkającej już w Krakowie, której język nie bardzo dobrze zrozumiano, ale wiadano że jadę do nich. Przejeżdżaliśmy przez Łódź. tam musiałyśmy się meldować w głównym Biurze Repatriacyjnym przy ul. Piotrkowskiej. Dochodząc do niej zobaczyłam duży oddział młodych ludzi w cywilu maszerujący pod konwojem Służby Bezpieczeństwa z wyciągniętymi pistoletami i z psami na smyczy - teraz już wiedziałam do jakiej Polski przyjechałam.

Z ciężkim sercem wysiadłam w Krakowie, gdzie przebywał mój syn, ale w pierw musiałam uwiadomić męża kobiety, która wracała tak jak i ja ale bez jednej nogi, którą straciła przy pracy w kamieniołomach. Szczęśliwie się złożyło, że mąż jej pracował w milicji przy ul. Siemirackiego i jak mi mówiła ona wrócił z Francji po wojnie.

Znalazłam go na 2 piętrze miał na sobie ciemno piplaty mundur. Gdy dowiedział się że żona czeka na dworcu zapytał czy prawdą jest że straciła nogę. Potwierdziłam to - objaśniając jego i jeszcze jakiegoś oficera milicji tam siedzącego, że tam kobieta w szczególności Polka była potraktowana nieludzko, o czym należy pamiętać.

Zbiegając ze schodów i przebiegając jezdnię znalazłam się właśnie u wylotu ul. Lenartowicza, zaś druga kamienica z prawej strony z nieco cofniętą bramą miała nr. 3 a więc tu mieszka Tolus.



Wstępując na piękne białe marmurowe schody z bijącym sercem myślałam czy ich zastanę i czy On mnie pozna?

Zadzwoiłam, usłyszałam kroki - a więc ktoś jest. Otworzyła mi siostrzenica męża - Fufka nic nie zmieniona, zwykowna, objęła mnie, ucałowała i potwierdziła że depeszę otrzymały. Gdy zapytałam czy On jest - wprowadziła mnie do pokoju. Przedemną stał chłopiec o miłej różowej buzi, dużej głowie, szczupłym korpusie na bardzo cienkich nogach, niby podobny do tego z którym tak tragicznie rozstałam się 6 lat temu, przyglądający mi się z zainteresowaniem ale i z rezerwą - lecz już inny. Zapytałam czy wie kto ja jestem, zaprzeczył i nie bardzo chciał wierzyć, że jestem jego matką. Objeżdżałam się za Fufką ale drzwi były zamknięte, jej nie było. Byłam wstrząśnięta i była chwila że żałowałam swego powrotu. Straciłam Iwów, straciłam męża bo nie wiadomo czy wogóle wróci i straciłam dzieci. One zastąpiły mu rodzinę, widocznie tyle mu dały serca, że o mnie zapomniał a ja napewno zrobiłam na nim niekorzystne wrażenie, dziwnie ubrana, dziwnie uczesana, brudna, całe szczęście że nie w walonkach i kufajce i chustce na głowie, bo i tak niektóre wracały. Trudno trzeba się było pogodzić z losem. podziękować za opiekę i czekać co przyniesie mi dalsze życie. Może najbiedniejszy był właśnie Tolus, który dostawszy się w moje ręce bezkompromisowe /wszak życie przez tych 6 lat dobrze mnie biło po krzyżach/ stałam się wymagająca, przed<sup>o</sup> on biedaczek ciągle się bronił, nieustannie powołując się na ciocię Stasię, która wcale od niego nie wymagała tego co mamusia mu każe robić. Odpowiadałam mu że trzeba mi było wziąć cię ze sobą, - tam byś pasał barany a może byki, rąbał drzewo chodził do lasu kilometrami p<sup>o</sup> opał, no i krz<sup>y</sup>wdziłam go niedyplomatycznie zabiegając o jego uczucia, Najgorsze co zresztą napełniało mnie największą troską było to że nie chciał jeść, a był taki mi-

zerny Gdy starałam się nakłonić go do jedzenia, zawsze siostra męża powtarzała to samo: "Nie zmuszj go do do tego" - ale to mnie niepokoiło.

Wreszcie trzeba było pomyśleć o pracy aby nie być ciężarem dla rodziny, ale też musiałam zmienić mój wygląd, przeszłam na dietę od odchudzającej zmieniłam fryzurę upodabniając się do europejki.

Brat mój Bruno przebywał na Dolnym Śląsku w Świebodzicach, ~~zapro-~~prosił~~prosił~~ mnie do siebie z tą myślą że znajdzie mi jakąś pracę. Znalazł, ale nie w moim zawodzie nauczycielskim, ale jako zarządzającą sanatorium "Jurata" w Szklarskiej Porębie - należącego do Zjednoczenia Stolarskiego w Jeleniej Górze, Nie zachwyciła mnie ta propozycja, znowu oddalona od rodziny ale mogłam zabrać syna, pełne utrzymanie dla mnie i dla niego i jakieś skromne wynagrodzenie. Gdybym wiedziała w co mnie pakują nigdy bym się nie zgodziła. Prostu weszłam w sitwę szabrowników, którą miałam rozbić, o czym dopiero powiedział mi inspektor który tam przyjechał po paru miesiącach na inspekcję, dlatego mnie tam zatrudniono.

Tolusia zapisałam do szkoły, a sama harowałam śpiąc 6 godzin na dobę. Musiałam zaprowadzić buchalterię, której wcale nie prowadzono. Z Jeleniej Gory przywiozłam kratkowane arkusze papieru i na nich stworzyłam "amerykankę" kreśląc odpowiednie konta. Wszyscy tam kradli począwszy od kierownika, kucharza, szofera, jednam słowem okradano gdzie tylko się dało, aja piękne góry Izerskie oglądałam tylko z okna bo wcale nie ~~wie~~ miałam czasu na spacer. Przyszedł nowy kierownik, zamiast kucharza kucharka, zmieniły się i pokojówki bo Niemki odjechały do Niemiec. Kucharka okazała się alcoholiczką i dopiero wtedy pracowała gdy się napiła, nowy szofer też kradł a jego pomocnik nie tylko kradł ale zakładał wnyki na sarny, które zimą przychodziły pod dom z lasu po pożywienie. Siedziałam jak na rozżarzonych węglach, ale na szczęście wszystko ma swój koniec a o to piękne sanatorium upomniał się chyba Wydział



Zdrowia z Jeleniej Góry - bo Jurata należała kiedyś do Ubezpieczalni Spobecznej berlińskiej. Zjechała kombsja, która przyjęła ode mnie mienie zaznaczając, że majątek ten został rozkradziony nąco odpowiedziałam że być może, ale ja pracuję zaledwie kilka miesięcy, a co zastałam oddaję w obecności milicji po spisaniu protokołu - na zarządzenie kierownika, który w sprawach służbowych wyjechał. To ostatecznie zdecydowało że wróciłam do Krakowa na Ienartowicza.

Toluś wrócił do swojej szkoły ale ze zdrowiem jago było coraz gorzej dopiśo porada u lekarza i sprowadzenie lekarstw z Anglii za pośrednictwem męża a także czuwanie nad specjalną dietą zasobną w białko, mleko i witaminy poprawiła mu apetyt i nareszcie wrócił do zdrowia.

Aby czuwać nad nim postanowiłam pracę zawodową wykonywać w domu, wykonywałam pracę chałupniczą czuwając nad jego zdrowiem i to trwało aż do powrotu męża z Wielkiej Brytanii do Polski. Deklaracja jęgo powrotu nie odbyła się bez szykan, odsunięto się od niego jako komunisty, ale dla niego najważniejsza była najbliższa rodzina i obowiązki z tym połączone, Wrócił na Święta Bożego Narodzenia 1947 roku.

Do sądownictwa nie wrócił/choć zawsze powtarzał mi, że właściwie Rzeczpospolita Polska nie rozwiązała z nim umowy/ ale w tym ustroju nie będzie wydawał wyroków. Postanowił wstąpić do ~~zaw~~ adwokatury i wpisał się do Izby Adwokackiej w Krakowie. W tej pierwszej jego legitymacji adwokackiej w pieczęci widniał jeszcze Orzeł z koroną, zaś w Sukiennicach krakowskich pośród herbów miast widniał wówczas także i herb Iwowa, ale 1948 roku już go nie było.

Mąż otworzył kancelarię w Makowie Podhalańskim, ale ja mieszkałam w Krakowie gdzie co tydzień przyjeżdżał. Jesienią urodził

Krakowie

się nam synek Kazimierz, a na wioenę już przenosiliśmy się na  
Ziemie Cdzyskane do Międzyrzecza Wlkp. gdzie przekazywał mężowi  
kancelarię kolega jego, przedwojenny sędzia z Gniezna.

Pojechaliśmy, ale to nam zabiło dziecko. Nie przygotowano dla  
nas mieszkania, dziecko w podróży czuło się doskonale, przyszło  
obniżenie temperatury, pokój w zamówionym hotelu nie był opałony,  
dziecko przyziębiło się i zmarło w konwulsjach na moich rękach,

Tak stawialiśmy pierwsze kroki na Zachodzie. Czas leczył  
rany, mąż pracował prowadząc procesy, pomagałam mężowi w prowa-  
dzeniu kancelarii, ale niebawem zaproponowano mi pracę w miej-  
scowej szkole gastronomicznej, jako nauczycielkę przedmiotów za-  
wodowych. Postąpiłam bardzo nierozważnie, gdyż ten rok 1950  
stał się początkiem choroby mojego męża, bardzo poważnej. Praca  
moja poza domem, zmieniła sytuację naszą kardynalnie. Mąż nie pot-  
pafił sam zadbać o siebie, straciliśmy klientów, bo w kancelarii  
nie było nikogo, jedynie Tolusiowi policzona przy egzaminie wstęp-  
nym na uniwersytet kilka punktów, bo matka była nauczycielką.

Uczyłam tylko rok, bo stan zdrowia mojego męża, wykluczył  
moją pracę poza domem. Syn skończył wydział weterynaryjny na Uni-  
wersytecie wrocławskim. Po skończeniu go prowadził Lecznicę Zwierząt  
rząt do czasu aż przyszedł starszy wiekiem i stażem lekarz, ~~wreszcie~~  
się ożenił i otrzymał stanowisko kierownika Lecznicy Zwierząt w  
Zbąszynku.

Nasilająca się astma oskrzelowa u męża, skłoniła nas do prze-  
niesienia się do Sanoka, ale to wiele nie pomogło, bo mąż zmarł  
z koncem 1980 roku.

Na tym zamykam moje dzieje.